12 stron

KUŹNICA

TYGODNIK SPOŁECZNO-LITERACKI

Cena 7 zł.

Biblioteka Miejska Łódź Andrzeja 14.

B. P. w Łodzi

„Tak wy, szlachetni, różnego narodu
Wolności świtów zamknięci orłowie,
Przed czasem zgaśli konspiratorowie,
Młodzieńcy w grobach lub starcy zamłodu,
Zdawałoby się, że czasów zakony
Własnymi łamiąc muskuły i nerwy,
Co potem w dziejach, to czynicie pierwej
Na samych sobie, jak święty szalony,
Wracając co wiek z oczyma błędnymi
Do odpoznania się — w klatce — na ziemi"

Cyprian Norwid

Rok 2 Łódź, 6 [illegible] 1946 r. Nr 17 (35)

JAN KOTT

O społecznym awansie

SALETRA.

Rozmowa była podobna do wielu innych. Różniła się tylko otoczeniem. Dwór, który pozostał w ręku dawnej właścicielki. Włóka gruntu, ogród i sad; resztówka nie została rozparcelowana.

— Dlaczego upierasz się, aby awans społeczny nazywać demokracją? — powiedziała córka dziedziczki Halina, z którą przed dziesięciu laty słuchaliśmy razem wykładów o teorii prawa. Ludzie dochodzą do pieniędzy i tracą majątki w każdym ustroju, co to ma wspólnego z demokracją. Nie ma demokracji bez wolności słowa i uczciwych wyborów.

Przez okno widać było czarny szpaler, jeszcze w tym roku nie strzyżony. Sterczały gałęzie. Za szpalerem zaczynała się droga. Na lewo szło się do lasu, na prawo do pałacu w Jasienicy. Co nocy z lasu dobiegały strzały, był to stary szlak partyzancki, bandy przechodziły tędy z grójeckiego za Pilicę. W pałacu mieścił się teraz zarząd gminny Związku Samopomocy Chłopskiej. Nie miałem ochoty kończyć dyskusji. Wydała mi się nagle zupełnie śmieszna ta rozprawa o demokracji w starym dworku, o parę kilometrów od lasu, gdzie obozowały bandy i pałacu, który zajęła Samopomoc.

O siódmej miało być zebranie.—Chodźmy do Jasienicy — zaproponowałem — może dowiemy się, co to jest demokracja. Droga była okropna. Tonęliśmy w błocie. Kamienny pałac stał w zrujnowanym parku, większość drzew była wycięta. Z przedziurawionego dachu lała się woda. Schody prawie przegniły. Kolekcja ogromnych rogów jelenich straszyła w którymś z kątów. Nikt tu nie mieszkał. Tylko dwa małe pokoje w lewym skrzydle zajęte były przez Samopomoc. Stał tam połamany fortepian, połowa klawiszy była wyrwana, trzy lub cztery Ludwiki jak oskubane kury i dwie proste ławy. Obradował zarząd Samopomocy. Potrzebna była saletra — nie było dosyć nawozu. Sklep w powiatowym mieście wymieniał metr saletry za metr pszenicy. Nie było dosyć ziarna na zasiew. Taka wymiana to jest złodziejstwo! — krzyczał jakiś młody chłopiec. Potem nagle zaczęto mówić o ciężarówce i o oponach. Powiat miał ciężarówkę, ale zajęta była odstawianiem kontyngentowych kartofli. Druga ciężarówka stała wolna, ale nie miała opon. Potem znowu wrócono do saletry. Sekretarz gminy był w Warszawie i Łodzi. Pokazywał jakieś papiery. Przydział 150 metrów saletry. Ale w Łodzi. Trzeba zwieźć saletrę. I znowu opony. Zebranie trwało cztery godziny.

Wracaliśmy późną nocą. Sekretarz gminy, trzydziestoletni chłop, wielki jak drzwi, tak był zmęczony, że ledwo chodził. W południe wrócił z Łodzi. Był u wojewody i w centrali. — Nie chcieli dać — śmiał się. —Ale powiedziałem wojewodzie, że nie damy rady inaczej. To mi obiecują 50 metrów. A ja mu ze statystyką, że u nas nadzielono 720 morgów...

— Pan pierwszy raz w Łodzi? — spytałem.

— Drugi, w grudniu byłem na zjeździe.

— I podobało się panu miasto?

— Co tam miasto — machnął ręką. — Nie było czasu... Jutro jadę po opony. Pożegnał się. Wracaliśmy do dworu. —

— Jak ci się podoba ten nasz fornal? — powiedziała Halina.

— Który?

— No ten sekretarz. Pięć lat był u nas fornalem, potem dostał dwie morgi z parcelacji Jasienicy. I zamiast dbać o gospodarstwo, bieda u nich aż piszczy, został sekretarzem i jeździ do Łodzi po saletrę i opony dla gminy.

— Masz przykład awansu — kończyłem popołudniowy spór.

Halina bardzo się zdziwiła. — U nas jadł lepiej — powiedziała.

Nie zrozumieliśmy się.

PRZED REWOLUCJĄ — ROK 1978

Czy może być coś osobliwszego, niż mój los? Syn nie wiadomo czy skradziony przez opryszków, wychowany w ich obyczaju, przykrzę sobie między nimi i pragnę się imać uczciwego zajęcia: ba! Wszędzie mnie odtrącają: Uczę się chemii, farmacji, chirurgii: i cały wpływ wielkiego pana ledwie zdoła uzyskać, aby mi powierzono lancet konowała. Zbrzydziwszy sobie dręczenie chorych bydląt, rzucam się, aby obrać wręcz przeciwne rzemiosło — na łeb na szyję w teatr: obym był sobie kamień przywiązał do szyi! Klecę komedię na tle współczesnych obyczajów. Jako autor hiszpański rozumiałem, iż mogę kpić bez skrupułu z Mahometa: natychmiast poseł... nie wiem już czyj skarży się, że obrażam Wysoką Portę, Persję, część półwyspu Indów, cały Egipt, królestwo Barka, Trypoli, Tunisu, Algieru i Marokka, i oto puszczono z dymem mą komedię, dla przypodobania się władcom mahometańskim, z których ani jeden, jak sądzę, nie umie czytać... Wszczyna się dyskusja o wartości pieniędzy i czystym ich produkcie, że zaś nie potrzeba znać jakiejś rzeczy, aby o niej rozumować, tedy nie mając szeląga przy duszy, piszę traktat o wartości pieniędzy i czystym ich produkcie: i oto wnet widzę, z głębi dorożki, jak spuszczają dla mnie zwodzony most turmy więziennej, u której wrót zostawiłem nadzieję i wolność... Sprzykrzywszy sobie żywienie niesławnego pensjonariusza, wypuszczono mnie wreszcie na ulicę... Aby skorzystać z tej lubej swobody, zapowiadam pismo periodyczne: i w mniemaniu, że nie wejdę do niczyjego podwórka, daję mu miano „Dziennik bezużyteczny". Tam do licha! widzę jak się podnosi przeciw mnie tysiąc nieboraków żyjących z kałamarza; zamykają mi pismo i otom znowu bez zajęcia. Rozpacz mnie już ogarnia: ktoś zakrzątnął się dla mnie o posadę, ale na nieszczęście miałem kwalifikacje: trzeba było rachmistrza, otrzymał ją tancmistrz. Pozostało mi już tylko kraść; puściłem się na banczek Faraona; dopieroż dobrzy ludzie! Zaczynają się kolacyjki, tak zwane *dobre towarzystwo* otwiera mi uprzejmie domy, zatrzymując dla siebie trzy czwarte zysku. Mogłem się odratować, zaczynałem rozumieć, że aby wyjść w świecie na swoje, lepiej być filutem, niż mędrcem. Ale ponieważ każdy naokoło mnie łupił, wymagając, abym był uczciwym, trzebaż by zginąć i tym razem... Podejmuję tedy dawny tobołek i pasek z angielskiej skóry; następnie zostawiając na szerokim gościńcu dym głupcom, którzy się nim karmią oraz wstyd, jako zbyt ciężki dla piechura, idę od miasta do miasta, goląc brody: nareszcie żyję bez troski. Wielki pan zjeżdża do Sewilli; poznaje mnie, pomagam mu do żeniaczki, i w nagrodę, że dzięki mym staraniom, posiadł swoją żonę, chce dobierać się do mojej...

Beaumarchais: *Wesele Figara*

W OKRESIE REAKCJI BURBOŃSKIEJ (1815 — 1830)

Król Francji zasiadł na tronie, zaglądając to tu, to tam, czy nie dojrzy jakiejś pszczoły w swoich dywanach. Jedni posuwali mu kapelusz i rzucał weń pieniądze; drudzy ukazywali mu krucyfiks i całował go, inni krzyczeli mu jeno w ucho wielkie brzmiące nazwiska, tym odpowiadał, aby przeszli do wielkiej komnaty, że tam jest dźwięczne echo; inni wreszcie pokazywali, jak skrzętnie zatarli pszczoły na swych starych płaszczach, i tym dawał nową odzież.

Dzieci patrzały na to wszystko, myśląc wciąż, iż cień Cezara wyląduje w Cannes i zdmuchnie te widma; ale cisza trwała ciągle na niebie zaś widniał jeno odblask bladych lilij. Kiedy chłopcy mówili o sławie, powiedziano im: „Zostańcie księżmi", kiedy mówili o ambicji: „Zostańcie księżmi", o nadziei, miłości, sile, życiu: „Zostańcie księżmi!..."

Musset: *Spowiedź dziecięcia wieku.*

W TYM SAMYM CZASIE W NIECO INNEJ SFERZE

I oto twój bilans młodzieńcze. Posiadamy tam na wsi papę, mamę, cioteczną babcię, dwie siostry (osiemnaście i siedemnaście lat), dwóch małych braci (piętnaście i jedenaście) oto inwentarz. — Ciotka wychowuje panny. Proboszcz udziela łaciny braciom. Rodzina zjada więcej kasztanów niż chleba, papa oszczędza spodnie, mama sprawia jedną suknię w zimie, a jedną w lecie, siostry łatają jak mogą. Wiem, wiem, bywałem na Południu. Tym trybem idą rzeczy u was, skoro ci posyłają tysiąc dwieście franków, folwarczek zaś przynosi ledwo trzy tysiące. Trzymamy kucharkę i służącego, trzeba zachować *decorum*, papa jest baronem! Co do nas jesteśmy ambitni, spokrewnieni jesteśmy z Beauseantami, a chodzimy piechotą; chce nam się majątku, a nie mamy szeląga, jadamy *frykanda*, mamy Vauquier, a smakowałyby nam proszone obiadki, sypiamy na tapczanie, a chcielibyśmy pałacu! Nie potępiam twoich chęci. Mieć ambicję, serdeńko, to nie każdemu jest dane. Spytaj się kobiet jakich mężczyzn szukają: ambitnych... Sporządzam inwentarz twoich pragnień, nim postawię ci pytanie. A to pytanie brzmi następująco: Mamy wilczy apetyt, ostre ząbki, w jaki sposób weźmiemy się do rzeczy, aby napełnić miskę? Mamy najpierw do schrupania kodeks: to nie jest zabawne i nie uczy niczego, ale trzeba. — Niech będzie. Zdajemy egzamin adwokacki, aby zostać sędzią karnym, wysyłać

STANISŁAW RYSZARD DOBROWOLSKI

Z „powrotu na Powiśle"

Tego dnia szliśmy z ojcem pod krwawym sztandarem.
Sztandar barwistym ptakiem łopotał na wietrze —
uwięziony nad drzewcem, ważąc się do lotu,
opadał, wzbijał znowu w wiosenne powietrze,
broczącymi skrzydłami tłukł o gwoździe — gotów
przed spienionym nawałem pochodu sam — pierwszy
drapieżnie się szponami wpić we wrogie piersi.

Ten, co drzewce sztandaru niósł w ściśniętych dłoniach—
miał śpiżowy kowala tors i śnieg na skroniach.
Tuż za nim młody ślusarz szedł z chłopcem u boku —
a dalej grzmiał rytm twardych, skandowanych kroków
pochylonych stolarzy, garbarzy, giserów
i tych, co młotem kruszą kamienie na drogach —
brukarzy, stróżów nocnych, cieśli, tapicerów,
kowali na wygiętych u kowadła nogach,
ślusarzy mechaników, blacharzy, tokarzy,
garbatych szewców, krawców, brązowych piaskarzy,
murarzy i — kto by ich spamiętał...
Szli tłumem.
Ci z szlifierni, co w płuca łykają pył szklany,
raz może odetchnęli powiewem wiślanym.
Co było w twarzach szklarzy, — wyrazić nie umiem.

Tytuniowe dziewczęta o łzawych źrenicach
furkotały pod murem w kwiecistych spódnicach;
niosąc chmurę zwichrzonych włosów wśród kaszkietów
prostokątnych jak szafy tragarzy.
Ile tu na rusztach oczu żaru i mrocznej zawiei —
o tym w aktach: co druga twarz, to twarz Okrzei.

Na Książęcej z szpitalnej zieleni ogrodów
sfrunął okwiat majowy na plecy pochodu:
niejeden, omuśnięty lekkim puchem woni,
rozpiął bluzę i piersi na słońce odsłonił.

Stąd potok głów wbrew starym nawykom natury
niewstrzymanym zalewem wspinał się do góry —
i wlewał w grdykę placu, podmywając kościół,
aż z krucht szept stuł szeleścił — boże bądź miłościw.
Zwieszone na balkonach różowe falbanki
załamywały dłonie w patetycznym geście,
trzęsły się wagi w sklepach, kołysały banki,
chwiały domy handlowe i więzienia w mieście.
Ordery policmajstra grzęzły w telefonie,
mdlał kupiec win na Brackiej, piejąc rzewnie: ko-niec!

Bo oto pieśń runęła jak or[illegible] w ulicę.

nieboraków więcej wartych od nas na galery, z piętnem na ramieniu dla dowiedzenia bogaczom, że mogą spać spokojnie. To nie wesołe, a przytem diablo długie. Najpierw dwa lata obkuwania w Paryżu, przyglądania się na czczo ananasom, na które idzie nam ślinka. To męczące, wciąż pragnąć, nigdy nie mogąc się nasycić... Strawisz się tedy w tej męczarni, najokropniejszej ze wszystkich, jakie nam pokazano w piekle dobrego Boga. Przypuśćmy, że będziesz rozsądny, że będziesz pił mleko i układał elegie: trzeba ci będzie zacząć... od tego, iż zostaniesz substytutem jakiegoś ciury, w zapadłej dziurze, gdzie rząd ciśnie ci tysiąc franków lafy, tak jak się stawia miskę zupy psu rzeźnika. Naszczekuj za złodziejami, pieniaj się za bogacza, wysyłaj na gilotynę tęgich zuchów. Moje uszanowanie! Jeśli nie będziesz miał protekcji zgnijesz w trybunale na prowincji. Około trzydziestego roku będziesz sędzią z tysiącem dwustoma frankami na rok, jeżeli do tego czasu nie śmigniesz togą o sosnę. Skoro dojdziesz czterdziestki, ożenisz się z córką młynarza, posiadającą jakieś sześć tysięcy franków renty. Padam do nóżek. Miej protekcję, będziesz prokuratorem w trzydziestym roku z tysiącem talarów płacy i ożenisz się z córką mera. Jeżeli popełnisz parę politycznych podłostek, jak naprzykład, wyczytać na kartce wyborczej: Villèle, zamiast Manuel (rymuje, to uspokaja sumienie) będziesz w czterdziestym roku prezydentem sądu i możesz zostać posłem. Uważ, drogie dziecko, iż popełniliśmy małe kompromisy z sumieniem, wytrzymaliśmy dwadzieścia lat nudy, tajonych udręczeń i że siostrzyczki zwiędły tymczasem w staropanieństwie. Mam zaszczyt również zwrócić uwagę, że jest we Francji tylko dwudziestu prezydentów Sądu, a jest nas dwadzieścia tysięcy kandydatów, między którymi znajdują się chwaty gotowe sprzedać własną rodzinę, aby się wspiąć o jeden szczebel. Jeżeli to rzemiosło cię mierzi, przyjrzyjmy się czemu innemu. Pan baron de Rastignac chce zostać obrońcą? Och, ślicznie. Trzeba się szamotać dziesięć lat, wydawać tysiąc franków miesięcznie, mieć bibliotekę, gabinet, bywać w świecie, całować togi adwokatów, aby dostać sprawę, zamiatać trybunał własnym językiem. Gdyby ten fach prowadził do czegoś, nie mówiłbym ani słowa, ale pokaż mi w Paryżu pięciu obrońców ,którzy w pięćdziesiątym roku życia zarabiają ponad pięćdziesiąt tysięcy rocznie? Ba, nimbym miał wydać duszę na takie spodlenie, wolałbym raczej zostać korsarzem. Zresztą skąd wziąć pieniędzy? Wszystko to nie jest wesołe. Chcesz się żenić? To znaczy uwiązać sobie kamień u szyi; przytem jeśli się ożenisz dla pieniędzy, cóż się stanie z naszym poczuciem honoru, szlachectwem?...

Szybkie zdobycie fortuny, to problem, jaki sobie stawia w tej chwili pięćdziesiąt tysięcy młodych ludzi, znajdujących się w twoim położeniu. Jesteś jednostką tej liczby. Osądź, jakie wysiłki cię czekają i jak zacięta będzie walka. Musicie się pozjadać wzajem, niby pająki w garnku, zważywszy, że nie ma pięćdziesięciu tysięcy dobrych posad...

Balzac: *Ojciec Goriot*.

W WARSZAWIE W ROKU 1861.

Był tu jeden profesor z gimnazjum realnego, obejrzał pompę i powiedział, że na nic się nie zda, ale że chłopak zdolny i powinien uczyć się. Od tej pory mamy sądny dzień w sklepie. Wokulski sharował, gościom odmrukuje, w dzień wygląda jakby drzemał, a zato uczy się po nocach i kupuje książki... Mówi, że pojedzie do Kijowa, do uniwersytetu. Ha, niech jedzie, może choć jeden subiekt wyjdzie na człowieka. Ja mu tam nie przeszkadzam; kiedy jest w piwnicy, nie napędzam do roboty, niech sobie czyta. Ale na górze dokuczają mu subiekci i goście...

...Stach był jeszcze ze trzy lata u Hopfera i przez ten czas porobił dużo znajomości ze studentami, z młodymi urzędnikami rozmaitych biur, którzy na wyścigi dostarczali mu książek, ażeby mógł zdać egzamin do uniwersytetu...

Spośród tej młodzieży wyróżniał się niejaki pan Leon... Ten jakby był moim pomocnikiem w politycznej edukacji Wokulskiego: kiedy bowiem ja opowiadałem o Napoleonie i wielkim posłannictwie Bonapartych, pan Leon mówił o Mazzinim, Garibaldim i im podobnych znakomitościach. A on umiał podnosić ducha!..

— Pracuj — mówił nieraz do Stacha — i wierz, bo silna wiara może zatrzymać słońce w biegu, a nie dopiero polepszyć stosunki ludzkie.

— A może mnie wysłać do uniwersytetu? —zapytał Stach.

— Jestem pewien — odparł Leon z zaiskrzonymi oczyma — że gdybyś choć przez chwilę miał taką wiarę, jak pierwsi apostołowie, jeszcze dziś znalazłbyś się w uniwersytecie...

— Albo u wariatów — mruknął Wokulski...

...Dziwne było pożegnanie Wokulskiego ze sklepem; pamiętam to, bo sam po niego przyszedłem... Zeszedł do piwnicy uściskać Machelskiego, gdzie zatrzymał się kilka minut. Siedząc na krześle, w jadalnym pokoju, słyszałem jakiś hałas, śmiechy chłopców i gości ,alem nie podejrzewał figla. Naraz (otwór prowadzący do lochu był w tej samej izbie) widzę, że z piwnicy wydobywa się para czerwonych rąk. Ręce te opierają się o podłogę i tuż za niemi ukazuje się głowa Stacha raz i drugi. Goście i chłopcy w śmiech.

— Aha! — zawołał jeden stołownik — widzisz jak trudno bez schodów wyjść z piwnicy? A tobie zachciewa się odrazu skoczyć ze sklepu do uniwersytetu!...

Prus: *Lalka*.

STATYSTYKA

Według statystyki, przeprowadzonej w roku 1938/39, pośród słuchaczy wyższych uczelni w Polsce było nieco mniej niż 2 proc. synów drobnych rolników i robotników. Liczba studentów wynosiła około 50.000, a więc tylko 1.000 dzieci robotników i chłopów znalazło się na wyższych uczelniach. Ponieważ czas studiów trwał średnio 5 lat ,przyjąć można, że w Polsce przedwrześniowej corocznie zaledwie 200 dzieci robotniczych i chłopskich rozpoczynało studia wyższe. System selekcji klasowej , stosowany przez szkołę sanacyjną, był w praktyce całkowity.

CHŁOPIEC I DZIEWCZYNKA Z ZAPAŁKAMI

Motyw „chłopca z zapałkami" występuje we wszystkich życiorysach milionerów amerykańskich, którzy dobiegali sześćdziesiątki w latach pierwszej wojny światowej. Chłopiec z zapałkami przemienia się czasami w pucybuta, liftboy'a, gazeciarza. Są to tylko odmiany tej samej sytuacji społecznej. Droga do majątku rozpoczyna się od zaoszczędzenia pierwszej złotej pięciodolarówki potem następują już tylko coraz bardziej szczęśliwe operacje finansowe. Cytowane fragmenty z dzieł klasyków literatury pokazywały różne historyczne typy awansu społecznego. Młody kapitalizm amerykański stworzył własny i nowy mit — chłopca z zapałkami, który stał się milionerem. Warto go w paru słowach scharakteryzować.

Mit o chłopcu z zapałkami przypomina loterię klasową. Wielka wygrana wypada na milion losów. Vautrin młodemu Rastignakowi obiecywał lepsze szanse: jedną na pięćdziesiąt tysięcy. Taka była szansa zrobienia kariery w okresie reakcji burbońskiej, co prawda tylko dla zubożałych szlachciców. Legenda o marszałkach napoleońskich w osiemnastym roku życia i trzydziestoletnich prałatach burbońskich pokazywała życiową wartość odwagi i hipokryzji. Jak działał wtedy mechanizm awansu społecznego odsłonił Stendhal. Powieść pozytywistyczna nagradzała swoich bohaterów za powściągliwość, pracę i zdrowy rozsądek. Dodatkową premię dawało wyzbycie się przesądów klasowych: bogaty ożenek z osobą niższego stanu zyskiwał pełną aprobatę moralną, prowadzenie dobrze prosperującego sklepu było czynem patriotycznym, obranie kariery lekarza lub inżyniera dowodem idealizmu.

Amerykański mit o chłopcu z zapałkami tylko w nieznacznym stopniu apoteozował wartości osobiste: energię, pomysłowość, przedsiębiorczość. W rzeczywistości był apoteozą złotej pięciodolarówki, szybkości obrotu pieniężnego. Chłopiec sprzedawał zapałki, potem papierosy, potem stare żelazo, potem opony samochodowe, potem samochody, potem... fabryki samochodów. Każdy przedmiot był tylko i wyłącznie towarem, jedyną jego cechą charakterystyczną była cena rynkowa. Szybkość obrotu zapewnia bogactwo. Taka była treść wychowawcza wielkokapitalistycznego mitu o chłopcu z zapałkami.

Do Europy mit ten zawędrował w latach kryzysu i nie wzbudził zaufania. Dorośli słusznie uważali, że jest znacznie rozsądniej dawać dzieciom do czytania opowiadanie o „dziewczynce z zapałkami", zamiast życiorysów „chłopców z zapałkami". Bajkę o dziewczynce z zapałkami napisał Andersen. Za nim powtarzało ją wielu autorów. Dziewczynka sprzedaje zapałki w noc wigilijną. Wpatrzona w oświetlone okna, za którymi widzi pięknie ubraną choinkę, spokojnie i cicho zamarza. Przed śmiercią ma bardzo przyjemne sny. U autorów o pogodniejszym usposobieniu dziewczynka nie umiera i opiekują się nią bogate dzieci o dobrych serduszkach. Jest to, na upartego, także mit o awansie społecznym. „Dziewczynka z zapałkami" znacznie bardziej od „chłopca z zapałkami" przemawiała do wyobraźni dzieci europejskich w latach międzywojennych.

CIOTKA AMELIA I TANIA Z WORONEŻA

Moja ciotka Amelia wykładała na uniwersytecie warszawskim. Zajmowała się archeologią. Interesowała się tylko tym, co było 5 do 7 tysięcy lat temu. Późniejszą historię rodu ludzkiego uważała za zupełnie nieinteresującą i całkowicie niepewną, z powodu wielkiej ilości sprzeczn ych ze sobą dokumentów. Kronikom średniowiecznym równie mało wierzyła, jak współczesnym gazetom. Określała to wszystko mianem plotki.

Ciotka Amelia całe życie marzyła o dalekich wyprawach archeologicznych, o samodzielnym przeprowadzeniu badań, o odkopywaniu starych grobowców. Ciotka Amelia nigdy nigdzie nie wyjeżdżała. Nie miała pieniędzy

Swoją największą pracę, grubą trzystustronicową książkę, napisała na podstawie trzech zdjęć, dwóch planów i krótkiego opisu wyprawy archeologicznej paru uczonych Anglików do jakichś zasypanych miast w Tybecie. W pracy tej nie tylko podała nową teorię wpływu obrzędów magicznych na pierwsze odkrycia techniczne, ale również dokładnie określiła miejsce, gdzie należy w owym zasypanym mieście tybetańskim szukać nowych świątyń i to, co się w nich odnajdzie. W planie zasypanych miast tybetańskich orientowała się znacznie lepiej niż w planie Warszawy. Następna wyprawa uczonych angielskich całkowicie potwierdziła przypuszczenia mojej ciotki. W dowód uznania nazwano nawet jedną z odkrytych świątyń jej imieniem.

Na międzynarodowym zjeździe historyków, który na parę lat przed wojną odbył się w Warszawie, moja ciotka Amelia poznała Tanię. Tania była córką kołchoźnicy spod Woroneża. Skończyła uniwersytet w Leningradzie. Studiowała archeologię. Mając dwadzieścia dwa lata została kierowniczką wielkiej wyprawy archeologów radzieckich na Pamir. Wyprawa trwała sześć miesięcy. Była podobno bardzo niebezpieczna. Przyniosła duże rezultaty naukowe. Dzieje tej wyprawy opisane zostały w bardzo pięknej książce, wydanej przez Akademię Nauk w Leningradzie.

Tania znała pracę mojej ciotki i poszła do niej z wizytą. Tania bardzo dziwiła się, że moja ciotka ma tak ładnie urządzone mieszkanie. Ale ją jeszcze bardziej dziwiło, że ciotka nigdy nie wzięła udziału w wyprawie archeologicznej. Natomiast moja ciotka Amelia uważała za bardzo lekkomyślne, że Akademia Nauk powierza kierownictwo wielkiej wyprawy naukowej 22-letniej dziewczynie, która dopiero co ukończyła studia i zaczytuje się nowoczesnymi powieściami.

AWANS SPOŁECZNY W POLSCE PRZEDWRZEŚNIOWEJ

Kiedy po raz pierwszy przed wojną czytałem „Pamiętniki Chłopów" wydało mi się, że zostałem przeniesiony w świat o innej sile ciążenia. Długo nie umiałem swego wrażenia określić inaczej niż metaforą. W rozważaniach o życiu pisanych przez inteligentów, w pseudo-filozofii praktycznej, w powieści psychologicznej opór rzeczywistości materialnej zostawał niemal całkowicie pominięty. Wszystko działo się jak gdyby wewnątrz nas samych. O wychowaniu dzieci i małżeństwie, o pracy i rozrywkach, o urządzeniu mieszkania i udziale w życiu społecznym mówiło się jak o zjawiskach zależnych wyłącznie od upodobań i zdolności, a w najlepszym wypadku od głupoty i rozsądku środowiska. Wydawało się, że ażeby zmienić swoje lub cudze życie wystarczy tylko przestawić coś w sobie samym lub innych o czymś przekonać. Rzeczywistość społeczna była prawie wyłącznie rzeczywistością psychologiczną. Podczas wojny przekonałem się, jak i wielu innych, że było to złudzeniem.

Kiedy dziś czytam: „Młode pokolenie chłopów' Chałasińskiego, „Życiorysy robotników" i „Pamiętniki chłopów" widzę w tych książkach obraz rozpaczliwej i daremnej walki o awans społeczny. Są to dzieje ludzi, którzy zmienić chcą rodzaj życia, jaki prowadzą, na jaki zostali skazani przez fakt urodzenia się w środowisku pozbawionym możliwości społecznego awansu. Są to dzieje ludzi, którzy chcą żyć inaczej niż żyją, którzy trafiają na opór sztywnej rzeczywistości społecznej.

„Istotą demokracji — mówiła w starym dworze Halina — jest wolność słowa i uczciwe wybory". Słusznie! Możliwość wyboru jest istotą demokratycznego ustroju. Ale są ważniejsze wybory od powszechnego głosowania. Wybór losu, wybór rzeczy pierwszych i zasadniczych: wybór zawodu, wybór miejsca pracy, wybór książki, dobór ludzi, z którymi chcemy się spotykać. Większość ludności w Polsce nie miała możliwości ani wyboru pracy, ani wyboru rozrywek, środowiska, gazety i książki. Życie ich było zdeterminowane przez warunki materialne od kolebki do grobu. Życie ich własne i życie ich dzieci.

Istnieje awans indywidualny jednostek i awans klas społecznych. W ostatnm dziesięcioleciu przed wojną stałe zmniejszanie się dochodu społecznego odbywało się kosztem ludności pracującej. Następował proces masowego obniżania się stopy życiowej, proces „równania w dół". — Udział mas w życiu kulturalnym nie istniał, udział mas w życiu politycznym został stłumiony przy pomocy wszystkich środków aparatu państwowego.

Pozostawał awans indywidualny, arrywizm zdolnych jednostek. Jakie były szanse awansu społecznego dla robotników i chłopów. Określa je liczba 200 dzieci, które z tych warstw rokrocznie docierały do uniwersytetu. Awans społeczny przez zdobycie wykształcenia jest tylko jedną z form awansu. Drugą formą awansu jest dorobienie się, zdobycie pieniędzy, zmiana sytuacji materialnej.

Przez dziesiątki lat awans ten umożliwiała emigracja. Emigracja w skali masowej skończyła się po roku 1925. Wyjazd na roboty sezonowe nie tworzył nowych źródeł dobrobytu, pozwalał tylko przetrwać, przeżyć, nie umrzeć z głodu. Jeden tylko ruch, uchwytny cyfrowo, nazwać można od biedy awansem społecznym. Było to zakładanie straganów po miasteczkach przez bogatszych chłopów. Był to awans do drobnomieszczaństwa, albo raczej do „lumpenmieszczaństwa". Tworzył grupę społeczną całkowicie zależną od koniunktury i to bardziej politycznej niż gospodarczej. Był to awans społeczny, który pozornie tylko zwiększał możliwości wyboru własnego losu przez jednostkę. Dawał jej ochłapy fortuny i wyłączał ją z prawdziwego udziału w życiu społecznym.

NINA ASSORODOBRAJ

POCZĄTKI KLASY ROBOTNICZEJ

*

Cena ZŁ 200

SPÓŁDZIELNIA WYDAWNICZA „CZYTELNIK"

AWANS SPOŁECZNY W DEMOKRACJI LUDOWEJ

Na Śląsku byłem na wspólnym posiedzeniu dyrekcji jednej z kopalń i rady załogowej. Omawiano rozdział przydziałów, warunki pracy, kursy dla młodocianych robotników. Po zebraniu któryś z górników wyjął z kieszeni kawał chleba. Chleb był nieomaszczony.

— Przed wojną było lepiej — zagadnąłem.

— Lepiej się jadło — odpowiedział. — Ale za to miesiąc temu brałem udział w układaniu umowy zbiorowej.

Jesteśmy obecnie w Polsce świadkami awansu społecznego nowego typu. Nie będę mówił o robotnikach, którzy zostali dyrektorami fabryk, o chłopach, którzy są starostami. Ten awans społeczny objął dotychczas tylko kilkaset ludzi. Chcę mówić o awansie społecznym, który objął dziesiątki tysięcy robotników i chłopów. Chcę mówić o członkach rad załogowych, o sekretarzach związków zawodowych, o radnych gminnych, powiatowych i miejskich, o członkach organizacji młodzieży, o zarządach powiatowych Związku Samopomocy Chłopskiej, o brygadach robotniczych, które pomagały chłopom w przeprowadzonej reformie rolnej, które dzisiaj wyjeżdżają na wieś pomagać w odbiorze kontyngentów. Przypatrzmy się życiu tych ludzi. Ich położenie materialne nie uległo zmianie. Jedzą nędznie, ubrani są fatalnie. Zmieniła się ich sytuacja społeczna. Od ich przedsiębiorczości, energii, uczciwości i rozsądku zależy los warsztatu pracy, gminy, gromady, wielu istnień ludzkich. Byli niczym. Są kimś. Biorą czynny udział w życiu społecznym. Otrzymali możliwość wyjścia z bytu zdeterminowanego całkowicie przez nędzę materialną. Otrzymali prawo wyboru. Wyboru społeczności, do której z własnej woli chcą należeć. Stali się po raz pierwszy obywatelami. Zostali z własnej woli żołnierzami i przywódcami Obozu Reformy. Biorą udział w zebraniach i zjazdach. Czytają książki i gazety. Spotykają się z ludźmi z najbardziej różnorodnych środowisk. Walczą o dobro gromady, do której należą, o przydziały dla swojej fabryki, o szkołę dla swoich dzieci. Życie ich stało się pełne. Przeżywają bogactwo ciągle nowych sytuacji społecznych. Dotychczas nie mogli nawet decydować o własnym losie. — Teraz decydują wspólnie o losie wielu istnień ludzkich. Życie ich nabrało sensu. Życie ich nabrało godności. Oni tworzą i zmieniają społeczną rzeczywistość Polski.

Doktryny personalistyczne broniły wartości doświadczenia wewnętrznego, apoteozowały harmonijny rozwój osobowości, dostosowanej do otoczenia, zadowolonej ze swego losu. Powstały w latach kryzysu. Były kryzysową receptą na szczęście. Receptą dla ubogich duchem. Moralnością społeczeństwa o zamkniętym awansie społecznym.

Demokracja ludowa wytwarza typ człowieka, który walczy o zmianę materialnych warunków środowiska, w którym żyje. Demokracja ludowa wychowuje człowieka, który przełamuje opór martwych instytucji społecznych. W demokracji ludowej awans społeczny jednostki zależny jest nie od jej sytuacji materialnej, lecz od twórczego współudziału w życiu społecznym.

Jan Kott

W poprzednim (16) numerze „Kuźnicy" z dnia 29 kwietnia 1946 r.: **Ryszard Matuszewki:** Przyjąć czy odrzucić? — **Stanisław Libera:** Polski liberalizm. — **Adam Ważyk:** 50 lat poezji francuskiej (II). **Włodzimierz Słobodnik:** Skroś śpiew i noc. — **Jan Papuga:** Najpiękniejszy rejs. — **Tadeusz Kubik:** Pucz. — **Andrzej Braun:** Jedna noc. — **Julia Hartwig:** Wznowienie wydawnictwa „Europe". — **Jerzy Barski:** W obronie „czystej" nauki, czy w obronie nauki? — **Bolesław Dudziński:** Dwa głosy o faszyźmie. — **Witold Wudel:** Najpierw kadry techniczne. — **Władysław Broniewski:** Kamienie na szaniec. — **Adam Ważyk:** Rozmaitości — Udręczona fizyka. — **ph.:** Przegląd prasy. — **St. R. Dobrowolski:** Ten co nie lubi samogonu. — **kb. Bohdan Czesko:** Kronika zagraniczna. — **Jan Szczepański:** Książka o psychologii jeńca. — Noty.

Prenumerata zapewnia regularne otrzymywanie „Kuźnicy". Zaprenumerować można w każdym urzędzie pocztowym. Prenumerata kwartalna wynosi 75 zł.

TEOFIL WOJEŃSKI

Z teki Instytutu Pamięci Narodowej

Organizacja tajnego nauczania w okresie okupacji

Organizacja i osiągnięcia tajnego nauczania w Polsce w okresie okupacji niemieckiej zasługuje na upamiętnienie przede wszystkim dlatego, że działalność na polu tajnej oświaty bardziej niż jakakolwiek inna akcja w czasie okupacji była wyrazem solidarnej postawy całego społeczeństwa w stosunku do zamierzeń wroga. W żadnej innej dziedzinie walki z okupantem wysiłki społeczeństwa nie były tak harmonijne, zgodne, zdecydowane i powszechne. W żadnej innej dziedzinie nie były tak rzadkie wypadki zdrady lub nawet przeciwstawiania się. Żadna też akcja w okresie okupacji nie była w tym stopniu samorzutna i żadna też nie była w tym stopniu powszechnym wyrazem dojrzałości politycznej, poczucia odrębności narodowej, przywiązania do rodzimej kultury i zdolności organizacyjnych zbiorowości polskiej.

Gwoli prawdzie historycznej należy bowiem stwierdzić, że organizacja tajnego nauczania powołana była do życia przez czynniki społeczne, zanim zorganizowany został tajny aparat administracji państwowej i że po zorganizowaniu tego aparatu decydującym pozostał w organizacji tajnego nauczania czynnik społeczny. Rola t. zw. delegatury Rządu londyńskiego na kraj, sprowadzała się do rejestracji i aprobaty poczynań czynników społecznych na polu tajnego nauczania. W rękach też tych czynników spoczywała całkowicie inicjatywa i egzekutywa całej akcji. Jeżeli przedstawiciel delegatury londyńskiej na polu tajnego nauczania i kierownicy biur okręgowych mogli skutecznie rozwijać swoją działalność, zawdzięczali to nie faktowi, że byli mianowani przez delegaturę rządu londyńskiego, ale faktowi, że działali z ramienia organizacji społecznych.

Tymi czynnikami społecznymi, które zdecydowały o powodzeniu całej akcji, były: nauczycielstwo, młodzież i rodzice. Czynnik pierwszy, nauczycielstwo — z natury rzeczy odegrał rolę największą, zarówno w sensie inicjatywy, jak i aparatu wykonawczego. Śmiało i bez przesady można powiedzieć, że właściwą siłą motoryczną akcji była zdecydowana wola nauczyciela i wychowawcy polskiego przeciwstawienia się zakusom wroga, zmierzającym do zniszczenia podstaw odrębnej i związanej z potrzebami społeczeństwa kultury polskiej.

Co do intencji okupanta niemieckiego w tej dziedzinie nauczycielstwo nie miało żadnych złudzeń od chwili wkroczenia wojsk niemieckich na ziemie polskie. Nie miało i nie mogło mieć złudzeń — wróg bowiem nie ukrywał i nie maskował swoich zamierzeń zniszczenia kultury polskiej, by ułatwić sobie skolonizowanie, zgermanizowanie i włączenie raz na zawsze ziem zabranych w obręb państwa niemieckiego. Obrona kultury narodowej, kultywowanie jej mimo wszelkich przeszkód, stawianych przez okupanta, nabierały w tych warunkach charakteru walki na jednym z ważniejszych frontów w obronie niepodległości narodu. Zrozumiało to nauczycielstwo, zrozumiała młodzież, zrozumieli rodzice. I to zrozumienie stało się właściwym podłożem i impulsem organizowania tajnego nauczania.

Największa świadomość tego stanu rzeczy panowała oczywiście w szeregach nauczycielstwa. Nauczycielstwo posiadało również największe pod tym względem możliwości — było zwartą grupą społeczną, dobrze zorganizowaną. Pod tym względem znacznie gorzej z natury rzeczy przedstawiały się dwa pozostałe zainteresowane w organizacji tajnego nauczania czynniki społeczne: młodzież i rodzice. Stąd bardziej bierna rola tych ostatnich czynników w organizacji tajnego nauczania.

W akcji brały udział wszystkie istniejące przed wojną organizacje nauczycielskie i dyrektorskie. Świadczy o tym powołana z inicjatywy Związku Nauczycielstwa Polskiego (Z. N. P.), działającego w czasie okupacji pod nazwą Tajnej Organizacji Nauczycielskiej (T. O. N.) — Komisja międzyorganizacyjna, nazywana również Komisją Oświatową. W skład tej Komisji wchodzili delegaci: Z. N. P. w ilości podwójnej w stosunku do innych organizacji (ze względu na wybitną przewagę liczebną i reprezentowanie zarówno nauczycieli szkół powszechnych jak i średnich), delegaci T. N. S. W. (Towarzystwa Nauczycieli Szkół Średnich i Wyższych), Chrześcijańskiego Stowarzyszenia Nauczycieli Szkół Powszechnych, Stowarzyszenia Nauczycieli Szkół Zawodowych, Dyrektorów szkół państwowych i prywatnych. Z organizacji tych największą wagę ze względu na jej niewspółmiernie większą ilość członków, stan organizacji i tradycję miał Z. N. P., a właściwie lewicowe koła tej organizacji. Mimo różnic ideologicznych Komisja pracowała przez cały czas zgodnie, różnice zdań były niewielkie, dzięki ograniczeniu działalności Komisji do spraw związanych z aktualnymi sprawami tajnego nauczania.

Początkowo zasięg działalności Komisji obejmował całą okupację niemiecką, później, po zorganizowaniu się delegatury rządu londyńskiego, został ograniczony do terenu przedwojennego Kuratorium O. S. W. W istocie rzeczy spełniała Komisja przez cały czas dla całej okupacji rolę parlamentu tajnego nauczania. Tu ustalały się wzory organizacyjne pracy, wskazówki dotyczące programu nauczania i wychowania, tu wreszcie ustalały się wytyczne taktyki na terenie szkolnictwa w stosunku do zarządzeń i zamachów okupanta. Przez długi czas wszystkie zarządzenia i instrukcje w sprawie tajnego nauczania były bądź inicjowane przez Komisję, bądź przez nią aprobowane, zanim szły w teren.

Tajne nauczanie w zakresie szkolnictwa średniego ogólnokształcącego.

Najwcześniej i najpełniej rozwinęło się tajne nauczanie w zakresie szkolnictwa średniego ogólnokształcącego. Tutaj bowiem potrzeby były najpilniejsze. Szkolnictwo powszechne i zawodowe, jakkolwiek okaleczone przez Niemców pod względem programowym i organizacyjnym na terenie nazwanym Generalną Gubernią, mogło istnieć jawnie. W szkolnictwie powszechnym i zawodowym trzeba było tylko uzupełniać braki rozmyślnie spowodowane przez władze okupacyjne. Szkolnictwo średnie ogólnokształcące podobnie jak szkolnictwo wyższe zostało zamknięte w pierwszych miesiącach po zajęciu ziem polskich. Nie leżało w planach niemieckich jego uruchomienie. W przewidywaniach niemieckich nie wchodziło w rachubę istnienie inteligencji polskiej. Inteligencję, którą zastali, zamierzali wytępić. Stąd liczne aresztowania wśród niej, masowe morderstwa w obozach Treblinki, Majdanka, Oświęcimia i innych, masowe rozstrzeliwania w stolicy i na prowincji. Część ludności polskiej, która miała pozostać przy życiu, była przeznaczona do spełniania najcięższych robót, miało też jej wystarczyć wykształcenie na poziomie elementarnym i przeszkolenie zawodowe. Tylko odpowiadający tym zamierzeniom typ szkół był przez Niemców tolerowany. O zdecydowanej postawie społeczeństwa polskiego w stosunku do zamierzeń okupanta świadczy wymownie fakt, że bezpośrednio po zamknięciu powstają w stolicy i na prowincji samorzutnie tajne szkoły średnie ogólnokształcące, prowadzone kompletowo w prywatnych mieszkaniach. Wkrótce zostaje powołana do życia wspomniana wyżej Komisja Oświatowa i zostają uruchomiotajnie w stolicy wszystkie, na prowincji w obrębie dawnego K.O.S.W. prawie wszystkie istniejące przed wojną szkoły średnie ogólnokształcące. Zaczynają się również organizować tajne szkoły średnie ogólnokształcące w innych okręgach szkolnych t. zw. Generalnej Gubernii. Tempo i zakres prac organizacyjnych tajnego nauczania jest w różnych miejscowościach różny, zależny od miejscowych warunków, przede wszystkim od stopnia nasilenia terroru niemieckiego, stanu organizacji nauczycielskich, a zwłaszcza komórek Z. N. P., ich zwartości organizacyjnej i poziomu ideowego. W niektórych okręgach, jak np. w lubelskim, z poszczególnych miejscowościach na terenie dawnego Kuratorium Warszawskiego w Łowiczu, Rawie, Ostrowie i innych praca organizacyjna wciąż rozpoczyna się na nowo, rwie się wobec ostrych represji w stosunku do ludności w ogóle, a w szczególności w stosunku do nauczycielstwa. W innych okręgach, jak krakowskim, nauczycielstwo, zastraszone w pierwszych latach okupacji nie odrazu zdobyło się na dostateczną aktywność, by przeciwdziałać nastawieniu przez okupanta szkolnictwa polskiego na tory zgodne z interesami niemieckimi i dopiero z czasem rozwinął w należytym zakresie tajne nauczanie. Najgorzej rzecz przedstawiała się na ziemiach polskich wcielonych do Reichu: tu bowiem nauczycielstwo polskie było bezwzględnie tępione, wysyłane masowo do obozów, względnie zmuszane do ucieczki na ziemie będące w obrębie Generalnej Gubernii. Tu nie ma żadnych jawnych szkół polskich, więc nawet szkół powszechnych i zawodowych, które w Gen. Gubernii ułatwiały organizację tajnego nauczania.

Najszybciej i najpełniej rozwija się tajne nauczanie w samej Stolicy i najbliższej okolicy. Tu, jak było wyżej wspomniane, bezpośrednio po zamknięciu przez Niemców średnich szkół ogólnokształcących powstaje i rozwija się organizacja tajnego nauczania, obejmująca wszystkie szkoły średnie istniejące przed wojną. Tu powstaje i przez cały czas okupacji działa najgęstsza, skupiająca największą ilość młodzieży (licząca ponad połowę młodzieży uczącej się w tajnym nauczaniu w całej Polsce) — sieć tajnego nauczania.

Wśród okoliczności sprzyjających takiemu stanowi rzeczy do najważniejszych należała żywa w środowisku nauczycielstwa stolicy i okolicy tradycja walki o szkołę polską z ostatnich lat niewoli (1905—1914). Wśród nauczycielstwa tutejszego było jeszcze wielu uczestników i działaczy strajku szkolnego 1905 roku, uczestników tajnych kompletów w czasie od zamknięcia szkół polskich po strajku do uruchomienia prywatnych szkół polskich. Te żywe w doświadczeniu tradycje ułatwiały orientację i wpłynęły na większą niż gdzieindziej sprawność organizacyjną. Tradycja ta, żywa również w świadomości części rodziców, wpłynęła na ich postawę, ułatwiającą zadanie nauczycielstwu. Drugą okolicznością sprzyjającą rozwojowi tajnego nauczania na tym terenie było skupienie się tutaj dość liczne nauczycielstwa zmuszonego do ucieczki z miejsca pobytu przed wojną. Wprawdzie w podobnej sytuacji znalazło się Krakowskie, tam jednak początkowo nie umiano tej okoliczności wyzyskać. Ta ostatnia okoliczność w połączeniu z największą sprawnością organizacyjną Oddziału Grodzkiego i Zarządu Okręgu województwa warszawskiego Z. N. P. umożliwiała rozszerzenie bazy rekrutacyjnej dla tajnego nauczania na poziomie średnim przez związanie i wyzyskanie do tego celu jawnej szkoły powszechnej i zawodowej. Akcja w tym kierunku ujawniła się w dwóch postaciach. Na wsi — w postaci powołania do życia szeregu ośrodków, w których przed wojną nie było szkół średnich, ośrodków wybitnie wiejskich, umożliwiających dzieciom chłopskim kształcenie się na poziomie średnim. W mieście — w postaci bezpośredniego związania szkoły powszechnej z tajną szkołą średnią w sensie organizacyjnym i programowym. W sensie organizacyjnym — istniał bowiem bezpośredni kontakt między nauczycielstwem szkół powszechnych i nauczycielstwem tajnego nauczania na poziomie średnim. Nauczyciele szkół średnich byli często nauczycielami szkół powszechnych i odwrotnie — nauczyciele szkół powszechnych, posiadający odpowiednie kwalifikacje, nauczali często w tajnym nauczaniu na poziomie średnim. Ten bliski kontakt pozwalał na kierowanie do ośrodków tajnego nauczania na poziomie średnim odpowiedniego elementu spośród absolwentów szkoły powszechnej bez obawy zdekonspirowania całej akcji. W sensie programowym — program wyższych klas szkoły powszechnej w wielu szkołach uzgodniony został z programem niższych klas szkoły średniej. Klasa siódma w wielu szkołach powszechnych w Warszawie i na prowincji prowadzona była według programu kl. I. Wiele szkół powszechnych, posiadających odpowiednie warunki (dostateczną ilość odpowiednio przygotowanych sił nauczycielskich) nadbudowywało na szkole powszechnej rozwojową szkołę średnią. Tak więc mimo ciężkich warunków, mimo protestów rodzimej reakcji, w walce z okupantem o szkołę narodową realizowane były w tajnym nauczaniu w szerszym zakresie niż przed wojną zasadnicze postulaty demokracji kulturalnej: jednolitość szkolnictwa i upowszechnianie nauczania na poziomie średnim. Oczywiście to, co można było pod tym względem zrobić, było skromnym założeniem podstaw, które należycie rozbudowane mogły być dopiero po odzyskaniu swobody ruchów. Początki te dawały jednak szersze możliwości niż to, na czym zatrzymała się nasza reforma szkolna — dawały podstawę do rozbudowania dziesięcioletniej szkoły powszechnej.

Aparat wykonawczy tajnego nauczania.

Przedstawiona poniżej organizacja we wszystkich swoich szczegółach realizowana była na terenie okręgu szkolnego warszawskiego, stała się jednak wzorem dla innych okręgów i można ją uważać za typową. Rolę aparatu administracji szkolnej spełniały przez pierwsze dwa lata całkowicie, przez następne prawie całkowicie na terenie szkolnictwa średniego Stowarzyszenia Dyrektorów. W stolicy dyrektorzy tajnych szkół średnich zorganizowani byli systemem piątkowym, ściślej mówiąc — rejonowym. Dyrektorzy danego rejonu stanowili najniższą komórkę organizacyjną. Utrzymywali ze sobą kontakt, odbywali co czas pewien posiedzenia dla zaznajomienia się z dezyderatami centrali (Komisji Oświatowej) i przesłania do niej własnych dezyderatów oraz uzgodnienia planu pracy. Przedstawiciel komórki rejonowej wchodził do zarządów Stowarzyszeń Dyrektorskich, te zaś miały swoich przedstawicieli w Komisji Oświatowej. Dyrektorzy szkół prowincjonalnych porozumiewali się bądź bezpośrednio z przedstawicielem Komisji Oświatowej, bądź pośrednio przez komórki terenowe Z. N. P. Do ogółu nauczycielstwa decyzje i zarządzenia Komisji Oświatowej docierały również przez organi-

zacje nauczycielskie reprezentowane w Komisji. Z czasem przedstawiciele komórek regionalnych (z wyborów) spełniali w skromnym zakresie rolę nadzoru pedagogicznego. Na prowincji wszędzie, gdzie to było możliwe nowe ośrodki nauczania na poziomie średnim poddane były opiece pedagogicznej szkół średnich przedwojennych. W ten sposób powstała zwarta i sprawnie działająca organizacja społeczna. Trzeba jednocześnie podkreślić, że organizacja ta początkowo nie korzystała z żadnej pomocy finansowej, nie miała płatnych funkcjonariuszy. A w ogóle, jeżeli chodzi o szkolnictwo średnie, dotacje delegatury rządu londyńskiego nie były w żadnym stosunku do potrzeb — miały raczej moralne dla tych szkół znaczenie niż finansowe.

Obok i w związku z tą organizacją społeczną w trzecim roku okupacji delegatura rządu londyńskiego w kraju powołała tajną administrację szkolną w postaci biur okręgowych, składających się z kierownika i referentów poszczególnych typów szkół. W powiatach powołane zostały Powiatowe Komisje Oświatowe, w skład których wchodzili przedstawiciele różnych typów szkolnictwa. Komisje Powiatowe z kolei utrzymywały kontakt z przedstawicielami pracy oświatowej na odcinkach gminnych.

Organizacja administracji szkolnej w oderwaniu od organizacji społecznej byłaby oczywiście instytucją bezsilną i papierową. Tylko też tam, gdzie pokrywała się z organizacją społeczną, mogła odegrać istotną rolę.

Tajne nauczanie w szkolnictwie powszechnym.

Tajne nauczanie w szkołach powszechnych różniło się zasadniczo od tajnego nauczania na poziomie średnim, przede wszystkim tym, że obejmowało niewspółmiernie mniejszy zakres — posiadało charakter douczania. Na terenie G. G. szkoła powszechna istniała przez cały czas okupacji, większość materiału mógł nauczyciel przerabiać z dziećmi jawnie, z wyrzuconego przez Niemców materiału programowego mógł wiele przemycić przy nauczaniu jawnym. W tym też kierunku szły instrukcje Komisji Oświatowej. Tym niemniej, im dłużej trwała wojna, tym konieczniejsze stawało się douczanie przedmiotów usuniętych przez Niemców z programu i uzupełnianie nauki języka polskiego. Tym tłumaczyć sobie należy, że tajne nauczanie jako zorganizowane i masowe występuje później i dopiero w trzecim roku okupacji staje się zjawiskiem masowym w sensie już nie tylko przemycania podczas jawnego nauczania wiadomości wykreślonych z programu przez Niemców ale w sensie douczania dzieci starszych klas na tajnych kompletach. Natomiast od samego początku związkowe nauczycielstwo szkół powszechnych bierze czynny udział w organizowaniu tajnego szkolnictwa średniego, udzielając lokali często — jak już wspomniano — organizując gimnazja po miasteczkach i wsiach przy współudziale zaguanych przez wojnę do danej miejscowości nauczycieli szkół średnich. Organizacja tajnego nauczania w szkole powszechnej opierała się głównie o aparat organizacyjny ZNP.

W Warszawie podobnie jak w szkolnictwie średnim role administracji szkolnej spełniali delegaci szkół powszechnych, zorganizowani w Zarządy rejonowe powołane przez biuro oraz czynniki społeczne (Z.N.P.).

Tajne nauczanie w szkolnictwie zawodowym.

Szkolnictwo zawodowe podobnie jak powszechne na terenie Gen Gub. istniało jawnie. Ale i tu powstała konieczność douczania tajnie młodzieży przedmiotów związanych z rozwijaniem poczucia odrębności narodowej wykreślonych z programu przez okupanta. Prócz historii i geografii z programu szkół zawodowych usunięty został język polski. Wprawdzie szkoły zawodowe radziły sobie w ten sposób, że realizowały częściowo program tego przedmiotu na godzinach korespondencji, był to jednak paliatyw niewystarczający. Douczano więc tajnie młodzież języka polskiego, historii i geografii. Poza tym program, a w związku z tym typ liceów zawodowych został przez okupanta obniżony, sprowadzony do koniecznego zawodowego przysposobienia. Tajne nauczanie w szkołach zawodowych zmierzało do uzupełnienia tych wszystkich braków i do dania młodzieży wiadomości w zakresie przewidzianym przez program polski. Na ogół szkolnictwo zawodowe zorganizowane było podobnie jak szkolnictwo powszechne i średnie. Za szkołami zawodowymi poza tym w wielu wypadkach kryły się szkoły średnie ogólnokształcące. Symbioza jawnej szkoły zawodowej z tajną ogólnokształcącą polegała na tym, że pod pozorem równoległych klas w szkole zawodowej prowadzone były klasy gimnazjalne i licealne ogólnokształcące. Rzecz jasna, że plan oficjalny nie pokrywał się w tych klasach z rzeczywiście przerabianym programem. Tylko w razie wizytacji lub rewizji następowała zmiana dekoracji.

Tajne nauczanie w zakładach kształcenia nauczycieli.

Organizacja tajnego nauczania obejmowała również zakłady kształcenia nauczycieli. Już bowiem w drugim roku okupacji tajne szkoły średnie odczuwały brak sił nauczycielskich, trzeba było również w związku z przewidywaną w przyszłej Polsce demokratycznej oświatą myśleć o przygotowaniu na przyszłość nauczycieli szkół powszechnych. W Warszawie więc pod firmą Kursu Przygotowawczego dla Nauczycieli Szkół Zawodowych prowadzony był tajnie Instytut Nauczycielski. Prócz tego działały: tajne liceum pedagogiczne im. E. Orzeszkowej, tajne liceum pedagogiczne Szarych Urszulanek i Związku Kobiet. Prócz tego w Warszawie i na prowincji odbywały się kursy nauczycielskie, w Warszawie przeprowadzono jednoroczny kurs nauczycieli wychowania fizycznego.

Tajne nauczanie na poziomie wyższym.

Tajne nauczanie na poziomie wyższym zaczęło się organizować już w drugim roku wojny. Inicjatywa i pierwsze kroki w kierunku zorganizowania tajnych studiów wyższych podjęte zostało przez nauczycielstwo szkół średnich. Duża stosunkowo ilość absolwentów tajnych liceów w Warszawie nasunąć musiała troskę o ich dalszy los. Domagali się oni umożliwienia im dalszych studiów. Dalsze istnienie i rozwój szkolnictwa średniego wymagały uczynienia zadość słusznym postulatom młodzieży. Próbowano zaspokoić tę potrzebę organizując szkoły zawodowe specjalne, by pod tym szyldem prowadzić studia wyższe. Do szkół tego typu najliczniejszych i najumiejętniej wywiązujących się z trudnego zadania wyprowadzania w pole okupanta należała w Warszawie Szkoła Pielęgniarska Dra Zaorskiego, która w istocie była zamaskowanym wydziałem medycznym Uniwersytetu. Do szkół takich należała miejska szkoła handlowa Ed. Lipińskiego, prywatne kursy rysunku technicznego prof. Jagodzińskiego. Szkoły tego typu nie mogły jednak zaspokoić wzrastającej potrzeby istnienia studiów wyższych. Okupant niechętnie udzielał koncesji na takie typy szkół zawodowych, które można było wyzyskać dla celów nauczania na poziomie szkoły wyższej i otaczał te nieliczne szkoły kontrolą utrudniającą, a w rezultacie uniemożliwiającą prowadzenie nauki na poziomie wyższym. Pozostawała tylko droga wypracowana już przez szkolnictwo średnie — tajnego nauczania kompletowego. I w ten sposób zorganizowano w Warszawie studia wyższe wszystkich prawie wydziałów Uniwersytetu. Kontakt między tajnym szkolnictwem średnim i wyższym, utrzymywany za pośrednictwem Komisji Oświatowej, umożliwiał kierowanie absolwentów licealnych na odpowiednie komplety uniwersyteckie. Najpoważniejszą trudnością w organizowaniu kompletów studiów wyższych był brak sił profesorskich. Przy nauczaniu kompletowym sił nauczających potrzeba było znacznie więcej niż przy prowadzeniu zajęć jawnych w aulach, salach i pracowniach uniwersyteckich. A tymczasem środowisko uniwersyteckie zostało przez zbirów niemieckich najbardziej przetrzebione, najbardziej sterroryzowane. Wielu profesorów odmówiło współpracy w tajnym nauczaniu. Ratowali sytuację docenci i siły pomocnicze dawnych uniwersytetów. Sprzyjał tajnemu nauczaniu w Warszawie fakt skupienia się tu pracowników innych uniwersytetów. Przez cały też czas działały w Warszawie 2 ośrodki uniwersyteckie: dawnego Uniwersytetu Warszawskiego i Uniwersytetu Poznańskiego. W ostatnim roku ruch tajnego nauczania na poziomie wyższym w Warszawie rozwinął się w tym stopniu, że przedstawiciel Komisji Oświatowej, kierujący absolwentów szkoły średniej na studia wyższe, musiał zorganizować całe biuro, które z trudnością mogło podołać zadaniu. Mimo jednak wysiłków Komisji Oświatowej aż do końca nie można było umieścić wszystkich absolwentów szkoły średniej na kompletach uniwersyteckich. Świadectwem rozrostu tego działu tajnego szkolnictwa był fakt, że w ostatnim roku przed powstaniem warszawskim organizować się zaczęły komplety uniwersyteckie w miejscowościach podwarszawskich, mających dobrą komunikację ze stolicą (Milanówek, Grodzisk i inne).

Mówiąc o tajnym nauczaniu na poziomie uniwersyteckim zobrazowałem stan rzeczy w Warszawie, tylko bowiem tu rozwinęło się ono w sensie ruchu masowego.

Oświata dorosłych.

Do najmniej udanych akcji tajnej oświaty należała akcja tajnej oświaty dorosłych. Najmniejsze też wyniki w tej dziedzinie zostały osiągnięte. Trzeba powiedzieć szczerze, że spełzły one właściwie na niczym. Życie polityczne zbyt absorbowało starsze społeczeństwo, szerokie masy pracujące zajęte walką z okupantem, walką o utrzymanie się przy życiu, reagowały bardzo słabo na wszelką inicjatywę w tej dziedzinie.

Akcja wydawnicza.

W związku z powyższą pracą organizacyjną i instruktorską Komisja Oświatowa w pierwszych dwu latach sama, później przy współudziale biura wydała i rozpowszechniła szereg instrukcji i broszur. Do najważniejszych należały: 1) instrukcja wychowawcza (dostosowana do sytuacji, w której znalazło się społeczeństwo polskie w czasie okupacji niemieckiej), 2) instrukcja w sprawie programów (polecająca usuwać te momenty, które służyły gloryfikacji sanacyjnego reżimu oraz podkreślać te momenty, które mogły służyć do właściwego oświetlenia zaborczości niemieckiej), 3) odezwa do rodziców (wzywająca rodziców do współdziałania w wychowywaniu młodzieży we właściwym kierunku), 4) odezwa w sprawie przeciwdziałania szerzonemu przez Niemców antysemityzmowi i wyzyskiwaniu rzekomych wypadków w Katyniu dla propagandy niemieckiej, 5) broszury poświęcone wyjaśnieniu istoty i wartości demokracji, 6) życiorys Hitlera według Heidena (streszczenie), 7) Förster: Niemcy a Europa (streszczenie), 8) Rauschning: Rewolucja nihilizmu (streszczenie), 9) Zarys wypadków od 1935 roku do karty Atlantyckiej (wyjaśniający o co toczy się wojna), 10) Nacjonalizm i patriotyzm, 11) Demokracja i liberalizm, 12) Polska a Czechy i inne, 13) wydany został również wybór poezji i prozy, budzących świadomość odwiecznej walki Polski z Niemcami pod tytułem „Wybór tekstów do nauki stylistyki" oraz 14) program gimnazjum (przedruk) i 15) elementarz.

Część tych wydawnictw była odbijana na powielaczu, część drukowana.

Rozpowszechnianie podręczników i książek.

Przy współudziale „Naszej Księgarni" organizacja tajnego nauczania rozprowadzała podręczniki i pożądaną z punktu widzenia wychowawczego lekturę. W celu właściwego nastawienia nauczycielstwa dostarczano zespołom nauczycielskim lekturę, poświęconą zagadnieniom politycznym i społecznym oraz prasę nielegalną.

Akcja samopomocy.

Od samego początku podjęta była na szeroką skalę akcja samopomocy. Całe nauczycielstwo zarobkujące wpłacało pewien procent na rzecz samopomocy nauczycielskiej, prowadzonej przez zorganizowane czynniki społeczne (organizacje nauczycielskie). Początkowo akcja samopomocy opierała się wyłącznie o składki zbierane od nauczycielstwa (procent od zarobków), później korzystała również z dotacji dostarczanych przez delegaturę rządu londyńskiego.

Teofil Wojeński

GEORGES FRIEDMAN

Maurycy Halbwachs

Selekcja na odwrót, systematycznie prowadzona przez hitleryzm, była niewątpliwie jednym z najstraszniejszych rysów drugiej wojny światowej. Poprzednia wojna godziła przede wszystkim w masę biorących udział w bitwach pozycyjnych i wyniszczających. Tym razem na ziemiach okupowanych, poza frontem padli najlepsi pod względem charakteru, umysłu, patriotyzmu. Pragnąc prowadzić w dalszym ciągu walkę, wyróżnili się — i wróg mógł (wiemy teraz, niestety, w jakich rozmiarach i w jaki sposób) zdziesiątkować tę elitę. Uczeni, którzy nie byli z powołania ludźmi czynu, znaleźli się w Ruchu Oporu dzięki swej stałości moralnej, ciągłości i prawości myśli. Z odwagą udzielali oni wsparcia walczącym, a przede wszystkim swoim bliskim. Między ofiarami znalazł się Maurycy Halbwachs, profesor Collège de France, aresztowany przez gestapo w Paryżu w lipcu 1944 r. Umarł w styczniu 1945 w obozie buchenwaldzkim.

Przez długi czas przyjaciele mieli nadzieję, że go ujrzą jeszcze. Nikt nie chciał wierzyć, że na rodzinę, która straciła tragicznie aż trzy osoby, jeszcze raz spadnie fatalny cios. Lecz Maurycy Halbwachs nie mógł znieść systemu metodycznych prześladowań. Jeden z jego synów, aresztowany nieco wcześniej, odnaleziony przez ojca w obozie, był obecny przy jego zgonie. Do tylu cierpień, tylu strat ludzi szlachetnych i dumnych dołączyła się jeszcze bolesna dla naszego kraju strata uczonego wielkiej klasy, który uświetniał myśl francuską wobec obcych, człowieka o rzadkich zaletach umysłu i serca, którego dyskrecja i delikatność ubiegały się o lepsze z dobrocią. Sprawą słuszną i na czasie jest wspomnieć go tutaj.

***

Podczas „ciemnego okresu" okupacji, ilekroć potajemnie wyjeżdżałem, Maurycy Halbwachs zapraszał mnie, abym go odwiedził. A w przyszłości miał jeszcze często, nie zdając sobie z tego sprawy, narażać się na większe niebezpieczeństwa.

Spotykałem go w jego gabinecie przy ulicy Raspail, jasnym i prostym jak on, u boku odważnej żony, wewnętrznie rozdartego (czuło się to) losami kraju i ludzkości; lecz jego chłodne oblicze, mowa powolna i poważna, promieniowały tą samą dzielną jasnością. W objaśnieniach prywatnych, a także w wykładach w Sorbonie, i w pracach ówczesnych, podtrzymywał wolnego i uczciwego ducha badań w dziedzinie nauk socjalnych; przyjęcie takiego stanowiska naraża w okresie panowania tyranii, na stałe pułapki. Zarówno jego wykłady jak i publikacje dowodziły, że prowadził on dalej poprzez badania i nauczanie, swoje dzieło naukowego humanizmu. Wyczuwało się w tym uczonym i mędrcu jednocześnie, pogodną siłę, która nie ugięłaby się pod naciskiem zewnętrznym. Maurycy Halbwachs wspaniale przechował w czasie wojny te zalety ludzkie, które winny zasilać działanie i nim kierować. Dlatego ludzie skołatani przeżyciami i walką podziemną znajdowali w nim nieskończone źródło pociechy. Spotkanie, rozmowa z nim, ukazywały z całą plastyką te sprawy zasadnicze, które należało ochraniać i ratować.

Lecz nie trzeba sobie wyobrażać, że odosabniał się od świata i trudniejszych, aktualnych zagadnień rzeczywistości. Czy by zresztą był w stanie? Ze swego obserwatorium w Strasburgu, gdzie uczył na Uniwersytecie po 1919 roku, widział przemiany republiki niemieckiej, narodziny hitleryzmu, zapowiedź metodycznego postępu odrażającej ideologii. Począwszy od 1940 roku stracił kolejno szwagra, dr. Jerzego Bascha, który nie chciał przeżyć hańby zawieszenia broni, i teściów Wiktora Basch i jego żonę, starców osiemdziesięcioletnich, zamordowanych przez milicjantów i przez Niemców, w okolicznościach szczególnie okrutnych; wtedy to on sam zajął się na miejscu, w Lionie, śledztwem i żądaniem wymiaru sprawiedliwości: wiadomo, ile mogły kosztować wówczas podobne kroki. Nie zadawalał się informacjami radiowymi i dziennikarskimi na temat sytuacji wojskowej i politycznej, tak przecież zróżnicowanej w szczegółach; lubił zbierać i analizować wiadomości, badając przebieg opinii. Nieraz kreśliliśmy wspólnie linię horyzontu, od niego wychodziła szeroka i przenikliwa analiza sytuacji światowej, układu sił obecnych, perspektyw socjalnych, ukazywanych przez wojnę; rozmowy, w których poprzez sąd człowieka nauki, wyczuwało się określone, głęboko uzasadnione stanowisko ludzkie i społeczne, wzmocnione jeszcze przez doświadczenia wojny. Krótko mówiąc, wówczas, gdy wielu uczonych nawet wybitnych w swoim zakresie, ulega zwolna sklerozie, i ukazuje niebezpieczną obojętność wobec warunków politycznych, socjalnych (a w konsekwencji moralnych) swej epoki, i nawet wobec praktycznych wniosków swej własnej wiedzy, wtedy to dzięki zespoleniu które winno być zasadą stałą, a w rzeczywistości jest wypadkiem rzadkim, wiedza Maurycego Halbwachsa, przeniknięta była sumieniem i człowieczeństwem.

***

Straciliśmy go w chwili, gdy mianowany profesorem psychologii społecznej w Collège de France, miał pozbywszy się kłopotów uniwersyteckich, poświęcić się całkowicie swoim badaniom i odnowić je w dziedzinie rozciągającej się na pograniczu socjologii i psychologii; dział delikatny i trudny, gdzie tyle jest do zrobienia i gdzie jego myśl jasna uchwytna i niezależna od jakiegokolwiek systemu, była tak cenna. Miał jeszcze wiele do powiedzenia. Ale i w takim stanie, dzieło, które pozostawił, ważkie dzięki swym konkretnym wynikom, jest jednym z poważniejszych dzieł socjologicznych pierwszej połowy wieku, a tak bogate, że można tu starać się o wyodbycie kilku zaledwie jego aspektów.

Maurycy Halbwachs urodził się w 1877 r. Nauczycielem jego w ciągu trzech lat pobytu w Szkole Henryka Czwartego, był Bergson, który wywarł nań wielki wpływ. „Nie wiem nawet — pisał — czy wpływ ten nie był niezatarty". Po ukończeniu Ecole Normale zainteresował się Leibnitzem, i poświęcił temu pełnemu uroku myślicielowi, ostatniemu z wielkich umysłów encyklopedycznych czasów nowożytnych, tak umiującemu i irytującemu zarazem małą książeczkę jasną i zwięzłą[1]), która ukazuje dokładnie leibnitzowską myśl, błyskotliwą i subtelną, nie rozwijając jej zbyt wyłącznie w kierunku uznanym przez autora za zasadniczy (a tak przecież postąpili w swoich pracach skądinąd bardziej ważkich, Couturat, Russel czy Baruzi). Halbwachs pracował w Hanowerze nad rękopisami autora „Monadologii" i miał uczestniczyć w wielkim długo wyczekiwanym wydawnictwie międzynarodowym prac Leibnitza, do

[1]) „Leibnitz" w kolekcji „Filozofowie" („Philosophes"). Paryż 1907; nowe wydanie, przejrzane i opatrzone komentarzem. Paryż 1928.

dziś niepodjętym, w którego realizacji przeszkodziła wojna 1914 r. Wziął on tylko udział w przygotowaniu katalogu rękopisów leibnitzowskich.

Lecz wkrótce nauki społeczne miały go powołać i zatrzymać przy sobie. Współpracuje z Simiandem, Levy-Bruhlem, a w pierwszym rzędzie z Durkheimem. Uczestniczy w pracach Rocznika Socjologicznego (L' Année Sociologique"), pisze rozprawę prawniczą[3]), obejmującą dwa studia, z morfologii społecznej i ekonomii politycznej, wreszcie inauguruje rozprawę „Klasa robotnicza i poziomy życia („La classe ouvrière et les niveaux de la vie" Paryż, 1913), swoje wielkie prace z dziedziny psychologii społecznej.

Dzieło to nosiło podtytuł „Badania nad hierarchią potrzeb we współczesnych społeczeństwach przemysłowych": można tu znaleźć stary temat jego prac: studium potrzeb naszej cywilizacji przemysłowej, oparte na szerokich badaniach. Oryginalność Halbwachsa cechuje od tego czasu zmysł konkretności, troska by uniknąć dogmatyzowania, do którego miewał skłonność Durkheim, dążenie by zmierzać wprost ku realności, by obserwować i wychodząc z tych źródeł tylko, stworzyć idee ogólne, hipotezy robocze, teorie, prawa. Trudno jednak zaprzeczyć, że w początkach ulega doktrynie Durkheima. Lecz z kąpieli rzeczywistości młody socjolog wyjdzie giętki i na zawsze nieufny wobec ducha systemu.

Aby przestudiować potrzeby i wydatki robotników, Halbwachs posłużył się w tej pracy dwiema ważnymi statystykami niemieckimi, pochodzącymi z 1909 roku, jedną opracowaną przez cesarskie Biuro statystyczne, drugą przez Zjednoczenie pracowników metalowych. Te badania nad budżetem rodziny, poprzez suchość arytmetyczną, pozwalają wejrzeć w życie codzienne robotniczego domu głębiej niż obrazowe monografie, które zadawalały takiego na przykład Le Playa. Po zwięzłym omówieniu źródeł Halbwachs wyprowadza z nich ścisłą metodę, pozwalającą ustalić średnie wytyczne, i zorientować się, jaka jest hierarchia wydatków grupy robotniczej.

Już tu widać u Halbwachsa zastosowanie durkheimowskich teorii przedstawień zbiorowych. Jednostka żywi przekonanie, że nie powinna ustępować wyłącznie wobec swoich potrzeb chwilowych: musi jeszcze przewidzieć potrzeby przyszłe i ograniczyć aktualne. W tych przewidywaniach wzoruje się ona na faktach dokonanych przez innych członków grupy. Podział potrzeb na cztery wielkie kategorie (wyżywienie, odzież, mieszkanie, wydatki różne) zależy od otoczenia społecznego. Z zestawienia statystyk wynika, że robotnicy wydają przeciętnie mniej na mieszkanie, niż członkowie innych klas, o równych dochodach, w szczególności wydają na ten dział w swoim budżecie mniej, niż urzędnicy, których uposażenie nie jest wyższe. Halbwachs stwierdza, że skoro płaca w gospodarstwie robotniczym wzrasta, poświęci się tam więcej pieniędzy na wyżywienie, lecz nie wyłoży się więcej na czynsz. Tak więc pośród potrzeb ekonomicznych odczuwanych przez robotnika, w warunkach socjalnych, w których obecnie wykonuje on swoją pracę, potrzeba mieszkaniowa najsłabiej jest odczuwana.

Miejsce zajmowane przez jednostkę w społeczeństwie pozwoliłoby więc przeciętnie i grosso modo przewidzieć, w jaki sposób ustala ona hierarchię swoich wydatków. Zauważmy tu, że Halbwachs ulegając teorii przedstawień zbiorowych, skłania się do subiektywizowania potrzeb. To co panuje, bierze górę i narzuca się, — zauważa on — to nie są potrzeby tych czy innych, nawet najsilniejszych, lecz „przedstawienie samej grupy i tego co jej odpowiada", „wyobrażenie tego co podoba się rodzinie traktowanej jako całość"[3]). W ten sposób psychologia społeczna doprowadza nas do wniosku, że uczucia klasowe i rodzinne ściśle się ze sobą mieszają.

To studium naukowe hierarchii potrzeb w klasie robotniczej jest jeszcze potwierdzone u Halbwachsa przez ciekawą teorię, sugestywną, jakkolwiek w pewnych punktach podlegać ona może dyskusji, teorię sytuacji robotnika we współczesnych społeczeństwach kapitalistycznych. Społeczeństwo kapitalistyczne przeznacza do funkcji opanowania materii, do przekształcania jej, do p r o d u k c j i, określony zespół członków — klasę robotniczą. Robotnicy, by się z tej funkcji wywiązać „są zmuszeni pozostawać w kontakcie z rzeczami, ograniczać się wobec nich i odrywać się od reszty zbiorowości ludzkiej"[4]). Wielka fabryka współczesna rozwija co prawda pracę zbiorową (łańcuch pracy) i solidarność wewnątrz grup. Lecz nie jest to prawdziwa towarzyskość, która polega na przyjemności obcowania między jednostkami takimi, jakie się objawiają w życiu rodzinnym, przy otoczonym staraniem ognisku domowym „home"; i właśnie fabryka, przy obecnej strukturze przemysłu, zabija w robotniku zamiłowanie do owego „home". Tu znowu socjologia uwydatnia stosunek między zachowaniem się psychologicznym, potrzebami, upodobaniami — a miejscem jednostki w produkcji.

Praca przygotowana przez niego w ciągu ostatnich dwudziestu lat, „Ewolucja potrzeb w klasach robotniczych" („L'Evolution des besoins dans les classes ouvriéres", Paryż 1933), rozszerzając pole obserwacji statystycznych na dalsze zasięgi i na inne kraje, potwierdza główne wnioski rozprawy z 1913: ankiety angielskie, niemieckie, amerykańskie, francuskie, przyczynki Międzynarodowego Biura Pracy pozwalają zdać sobie sprawę z tendencji, którymi kierują się w dziedzinie wydatków i potrzeb grupy społeczne, zajmujące takie same, równoległe miejsca w wielkich krajach przemysłowych zachodu. Jeżeli średnia przestrzeń mieszkaniowa przypadająca na robotnika wynosi 100, dla urzędnika wynosi ona 154. Słynna ankieta Forda, przeprowadzona w Detroit ukazuje nam charakterystyczną proporcję posiadaczy aparatów radiowych, pianin, maszyn do pracy gospodarskiej (pranie, ogrzewanie, czyszczenie), dowodząc, że w tej dziedzinie istnieje wyraźna plastyczność: potrzeby są „dążeniami, które rodzą się z życia socjalnego i wraz z nim się rozwijają z rozciągliwością niemal nieskończoną" (str. 152). Podkreślić tutaj trzeba występującą u Halbwachsa typową skłonność, by rozwiązywać kwestie potrzeb na gruncie relatywnym i subiektywnym.

Tymczasem, czyż robotnicy, zmuszeni bezustannie do porównywania swych warunków materialnych z warunkami innych klas społecznych, nie wyrażają r ó w n i e ż przez swoje potrzeby elementów obiektywnych, b r a k u realnego, odczuwanego w wyżywieniu i ubraniu, np. w porównaniu ze standardem życia klas średnich, lub burżuazji? Prądy myśli kolektywnej odgrywają rolę znaczną, jak to zauważył Halbwachs są ukształtowane przez czynniki obiektywne. W każdym razie (a powinno się w pracy badawczej przedyskutować teorie robotnika pochłoniętego przez „materię", „maszynę", i „separowanego od społeczeństwa"), te prace Halbwachsa czynią znaczny krok naprzód od ortodoksji durkheimowskiej, zbyt dogmatycznej i abstrakcyjnej. Halbwachs rozchodzi się ze swym mistrzem i prześciga go, kiedy uwydatnia w określonej grupie społecznej, mianowicie we współczesnym społeczeństwie przemysłowym, — stosunki produkcji, warunkujące umysłowość jednostek, ich wrażliwość, zachowanie się społeczne, potrzeby. Wskutek tego zbliża się równocześnie do socjologii marksistowskiej.

Badania nad „Przyczynami samobójstwa" („Les Causes du suicide, Paryż 1930), również posuwają i różnicują klasyczną pracę Durkheima na ten sam temat. Durkheim stwierdzał, że katolicy popełniają mniej samobójstw niż protestanci „ponieważ społeczeństwo którego część tworzą, jest bardziej zwarte, t.zn. że członkowie jego są powiązani między sobą bardziej ścisłymi więzami". Spójność ta ma wg Durkheima charakter religijny. Halbwachs wskazuje, że ten punkt widzenia powinien być jeszcze rozpatrzony i pogłębiony. W istocie, katolicyzm obejmuje na ogół ośrodki wiejskie, protestantyzm (który dopuszcza uczucia indywidualne, skłonność do inicjatywy i działalności świeckiej) skupia się raczej w ośrodkach miejskich. A więc poza spoistością religijną grup katolickich, analityk odkrywa wiele innych rysów, które zależą od sposobu życia pośród cywilizacji wiejskiej, gdzie się przekazuje obyczaje i tradycje. Ku tym więc formom życia (w których katolicyzm jest składnikiem tylko, ważnym z pewnością, ale częściowym) należy się zwrócić, aby wykazać w całej ich głębokości przyczyny społeczne samobójstwa i ich odmiany w czasie i przestrzeni. W ten sam sposób wyjaśni się, że choć samobójstwo jest bardzo częste, głównie pośród protestantów, rzadkie jest jednak w Anglii: trzeba szukać w całości cywilizacji angielskiej wyjaśnienia tej nieprawidłowości, trzeba więc sięgnąć (co jest wkładem oryginalnym Halbwachsa) do religii w jej specyficznych warunkach życiowych, w klimacie społecznym i psychologicznym, który nadaje jej w każdym kraju odmienne oblicze, i co za tym idzie: odrębny sposób działania.

W każdym dziele znajdujemy tę giętkość w użyciu metody socjologicznej, niechęć do tworzenia systemu, precyzyjną różnorodność przyjętych „kątów widzenia" wobec realiów. Ostatnio kontynuował on swoją książkę „Socjalne ramy pamięci". „Les cadres sociaux de la mémoire". Paryż 1925. (która miała w swoim czasie znaczny oddźwięk), — przez ciekawy szkic „Legendarna topografia ewangelii w Ziemi Świętej" („La topographie légendaire des Evangiles en Terre sainte"), który ukazując się w pełni wojny (Paryż 1941) nie znalazł echa należnego swej oryginalności i ważności. Autor, wg badań na terenie Palestyny rozpatruje, jak w przebiegu historycznym lokalizowano wydarzenia z życia Jezusa. Topografia legendarna Ewangelii doznała w istocie wielu zmian. Z początku, w okresie kształtowania się Ewangelii, powstał pierwszy system lokalizacji, ustalony w ramach starodawnych wspomnień żydowskich; następny powstał w okresie nawrócenia się Konstantyna, w epoce w której ośrodkiem wiary chrześcijańskiej staje się Męka, inny jeszcze po przybyciu krzyżowców, gdy bogato rozkwitł kult miejsc świętych. Lokalizacje nowożytne stosują się do potrzeb kultu, zrodzonych w Europie (np. obrzadek Stacji Męki Pańskiej). Pielgrzymi chcieliby odszukać, umiejscowić, pojąć dotykalnie całą ikonografię religijną katedr: „powszechna gmina chrześcijańska obejmuje znów w posiadanie miejsca święte, pragnąc, by stały się one odbiciem obrazu, stworzonego przez nią z daleka w ciągu wieków". (str. 204).

Fakt zastanawiający, i gdyby był ostatecznie przyjęty przez naukę, przyniósłby ważkie potwierdzenie tezy mitologicznej dotyczącej powstania chrześcijaństwa: w całej Palestynie nie dało się odnaleźć żadnego przedmiotu autentycznego, niewątpliwego, który by wyznaczał historyczną drogę Jezusa. Synagogę w Kafarnaum w której Jezus miał głosić nauki (jedna z najsilniejszych podpór tezy historycznej) datują dziś archeologowie na mniej więcej drugi lub trzeci wiek naszej ery[5]).

W całości okazuje się z tego zajmującego i ściśle obiektywnego studium, że miejsca święte przedstawiają w różnych epokach różne oblicza, na których wyryły swe piętno grupy chrześcijańskie, które je kształtują i umiejscawiają stosownie do swych dążeń i potrzeb. Tak manifestuje się na przykładzie konkretnym mechanizm pamięci zbiorowej w grupach ludzkich, mechanizm, którego wpływ ogólny na wspomnienia badał Halbwachs. Skądinąd książka ta, choć nie stawiała sobie takiego celu, zajmuje miejsce na marginesie wielkich prac, poświęconych, od Dawida Straussa i Renana, problemowi początków chrześcijaństwa, i zawiera znacznie więcej niż obiecuje jej tytuł. Dzięki naświetleniu pośredniemu (bo nie było ono głównym zamiarem autora) fakty pamięci zbiorowej i ich interpretacja socjologiczna przynoszą wyjaśnienia mitologiczne i imaginatywne legendy Jezusa.

W ostatnim okresie życia praca nad morfologią i demografią społeczną pochłania Halbwachsa coraz bardziej. Zainteresowany wcześnie statystyką, zdobywszy technikę jej zastosowania do nauk socjalnych, poświęca się studiom nad zagadnieniami populacji. W 7-mym tomie „Encyklopedii Francuskiej" podał wyniki długich lat badań w postaci interpretacji socjologicznej (która przecież rozszerza interpretację biologiczną, nie zaprzeczając jej) zjawisk płodności, a szczególnie podziału liczbowego noworodków wg płci. Wydaje się dowiedzionym, że podział wg wieku w grupie społecznej wyjaśnia, przynajmniej częściowo, podział noworodków wg płci: nie jest przypadkiem, że w społeczeństwie rodzi się taka lub inna ilość chłopców; w ten sposób została udowodniona raz jeszcze konieczność współpracy różnych nauk w badaniu faktów dotyczących człowieka.

Rozpatrując w swej pracy potrzeby i ich związek z różnymi środowiskami socjalnymi, podjął na nowo i znacznie rozszerzył morfologię społeczną Durkheima, surową jeszcze i dość abstrakcyjną. Poza faktami morfologicznymi odnajduje Halbwachs często strukturę ekonomiczną, a szczególnie silny wpływ grupy socjalnej, zwanej klasą. Tak więc badając **główne pobudki, kierujące działalnością indywidualną w życiu społecznym**[6]), poszukuje ich kolejno w klasach chłopskich, pośród burżuazji, robotników wielkiego przemysłu, wreszcie w klasach średnich: „Każda z tych kategorii społecznych — pisze on, określa zachowanie się swych członków, każda narzuca im określone motywy działania; wytłacza ona na nich swój znak, właściwy i różny dla każdej grupy, z taką siłą, że ludzie należący do różnych grup socjalnych, choć żyją w tym samym otoczeniu i w tej samej epoce, robią na obserwatorze wrażenie, jakby należeli do innych gatunków. Zatem motywy dążeń ludzkich wydają nam się w największej ilości przypadków całkowicie zależne od położenia zajmowanego w społeczeństwie" (str. 190)

Mogliśmy tu podać tylko niepełny zarys dzieła, bogatego i urozmaiconego, poruszającego konkretne tematy, zawsze ściśle określone i istotne. Jednak nawet z tego pobieżnego przeglądu można ocenić ważność wyników i oryginalną swobodę zastosowania metod. Ważka myśl Durheima była mu pobudką, a nie sztywną formułą. Czujny wobec wszelkich nowych osiągnięć wiedzy, szczególnie socjologii amerykańskiej, Maurycy Halbwachs podobnie jak Henri Pirenne i Marc Bloch, jest jednym z wielkich uczonych współczesnych, którego badania dzięki samej sile wewnętrznej, bez jakiegokolwiek uprzedzenia teoretycznego, łączą się w pewnych liniach głównych z socjologią marksistowską.

Maurycego Halbwachsa cechowała surowa i stała uczciwość w użyciu instrumentów badań naukowych, podobnie jak cechowała go również w życiu codziennym. Prawość intelektualna była tylko jedną z cech jego moralności. Jednak kończąc tych kilka stron, mających przypomnieć człowieka i dzieło, nie chcemy podejmować tonu patetycznego; niech wystarczy pożegnanie i przyrzeczenie: Maurycy Halbwachs nie cenił ani w swej pracy naukowej, niż w życiu codziennym niepokrytych przez swą zawartość myślową i uczuciową. Powiedziałem już: był to człowiek prawdziwy. Pragnął zawsze, abyśmy uczestniczyli w walce, każdy własnymi środkami i całym udziałem sił, aby rozszerzały się i zatriumfowały pewnego dnia w społeczeństwie i nauce wartości prawdy, sprawiedliwości, ludzkości, którym on sam godnie służył pośród światowych wstrząsów, czego świadectwem jest zarówno jego życie, dzieło jak śmierć.

przełożyła **Julia Hartwig**

---

[3]) Wydana ponownie pod tytułem: „La population et les tracés de voies à Paris depuis cent ans", Paryż 1928.

[3]) „La classe ouvrière et les niveaux de la vie", str. 416.

[4]) „Matière et Société". Revue Philosophique, lipiec—sierpień 1920 r., str. 120—122.

[5]) Renan, jakkolwiek nie mógł znać ostatnich prac archeologicznych, robi jednak w związku z tym zagadnieniem uwagę: „Zdaje się, że zarówno w topografii jak w historii usiłowano z głębokim zamiarem ukryć ślady po wielkim założycielu religii. Wątpliwym jest, czy kiedykolwiek uda się na tej ziemi, tak doszczętnie zrujnowanej, ustalić miejsca, na których postawił stopę, by ludzkość mogła na nich złożyć pocałunek". Wg. Prospera Alfaric. „Les Manuscripts de la ‚Vie de Jesus' d'Ernest Renan", Paryż, 1939.

[6]) Jest to tytuł ważnego studium, opublikowanego w „Les Enquetes sociologiques de l'Université libre de Bruxelles (Institut de Sociologie Solvay, Bruksela 1938).

Nieprzyjemna sprawa

Sprawozdanie „Odrodzenia" o przyznaniu nagrody literackiej Krakowa doczekało się listu otwartego opublikowanego w poprzednim numerze „Kuźnicy". Ale poza kwestią manier redakcyjnych sprawozdanie p. Zawieyskiego zasługuje na uwagę jako swoisty dokument. Dowiadujemy się, że w jury powołanym przez Miejską Radę Narodową „główne przemówienie wygłosili: K. Wyka i J. Zawieyski, którzy analizowali i porównywali twórczość poetów. (kandydatów) do nagrody. Sprawozdanie uchyla rąbka tych analitycznych wypowiedzi: „Na tej drodze Przyboś jest konsekwentny i jednolity, zdobywa dla poezji nieznane dotąd środki wyrazu, jest twórczy, jasno określony (!) bezkompromisowy". „Przez twórczość Miłosza przebiega silny nurt filozoficzny, który niejednokrotnie, w ostatnich zwłaszcza utworach, zniża się (!) ku publicystyce. Ten nurt filozoficzny wyraża się w postawie sceptycznej, którą poeta usiłuje przezwyciężyć, aby dojść do realizmu i najwnej (!) konstatacji świata. Środki artystyczne Miłosza stanowią o bogactwie jego możliwości, od stylizowanej prostoty lub (!) tradycyjnej zwrotki do wyrafinowanej rozlewności obrazowej i metaforycznej". Po tym obiecującym wstępie dyskwalifikacja w tych słowach „Nierówny i wielokształtny obraz twórczości Miłosza jest zjawiskiem (—!) ciekawym i wartościowym, lecz odejmuje tej poezji (obraz — czy zjawisko?) jej jednolitość, jej wagę w sensie poetyckim i kulturalnym".

To się w pojęciu eksperta od poezji p. Zawieyskiego nazywa analizowaniem twórczości poetów. W istocie mamy tu impresjonistyczne wodolejstwo równie niechlujne pod względem stylistycznym jak ciasne i reakcyjne w pojmowaniu zadań poezji. Ten typ oceny, zdawkowy, pretensjonalnie górny a mętny, stanowi zdawna plagę recenzyj z tomików poetyckich — wszyscy się do tego przyzwyczaili, mało kto te rzeczy czyta, a nikt nie zauważa naprawdę. Traktowanie jednak tego rodzaju lurką ciał powołanych przez Samorząd, przynosi szkodę natury ogólniejszej.

Bardzo często nasi literaci narzekają na lekceważenie, czy brak należytej oceny wagi pisarza ze strony przedstawicieli społeczeństwa polityków, działaczy samorządowych itd. Niestety literaci są często sami sobie winni gdy ludzie ożywieni najlepszymi chęciami natrafiają właśnie ze strony pisarzy na takie — powiedzmy otwarcie „bukanie". Nasze organizacje literackie powinnyby się jednak więcej zastanawiać, kogo powoływać do czynności tego rodzaju, które przecież mają znaczenie nie tylko reprezentacyjne ale i społeczno - wychowawcze na przyszłość.

Jeszcze jedno, nie idzie o uszczuplanie laurów Przybosiowi, który jest niewątpliwie najwybitniejszą postacią literackiego Krakowa i któremu słusznie należała się nagroda. Ale redaktor działu poetyckiego „Odrodzenia" powinienby zdobyć się na większą dozę równowagi i objektywizmu wobec przedstawicieli innych szkół, czy doktryn poetyckich.

Gdy ludzie pokroju p. Zawieyskiego dają wyraz antypatiom do poezji społecznej, czy publicystycznej to jest rzecz zrozumiała. Poetom jego „sądy" i „oceny" nie zaszkodzą z pewnością. Poeci „zniżają się do publicystyki" nie od dziś i to zniżanie się ma bardzo stare, bardzo szanowne i uznane tradycje. Ale należy uznać za rzecz szkodliwą, gdy spleśniałe frazesy — produkt nieprzewietrzonego mózgu, znajdujemy na łamach „Odrodzenia", pisma którego ambicje literackie i społeczne czego innego pozwalałyby się spodziewać.

Spectator.

JAN KOTT

MITOLOGIA I REALIZM

SZKICE LITERACKIE

TACYT
STENDHAL
GIDE
NADREALISCI
CONRAD
MALRAUX

CENA
Zł. 190—

DO NABYCIA
WE WSZYSTKICH KSIĘGARNIACH

SPÓŁDZIELNIA WYDAWNICZA
„CZYTELNIK"

MAURYCY MOCHNACKI

Fragmenty

Z „Powstania Narodu Polskiego

PRZYCZYNY POWSTANIA

...Żeby pojąć jaki wpływ miała ta nagła zmiana na podniesienie ducha rewolucyjnego w prowincjach polskich pod berłem moskiewskim, potrzeba znać lokalne stosunki. Tak zwana drobna szlachta tradycyjna, czynszowa, trzymająca w całej Polszcze środek między możnemi i chłopami, stanowiąca niejako stan trzeci polski, liczna w całej Polszcze, lecz najliczniejsza w Litwie od unii, a na Rusi rozmnożona przez częste od najdawniejszych czasów migracje z ziem koronnych ,zajęta w tych okolicach spekulacją, służbą dworską, wolna po rozbiorze kraju, mogąca się przenosić z miejsca na miejsce, cieszyła się pod rządem moskiewskim niezaprzeczoną prerogatywą najprzód niepłacenia podatku od głowy, powtóre wolności od zaciągu wojskowego. Pod każdym względem niezmierna różnica zachodziła w Rossyi między takim szlachcicem, a chłopem. Jak już powiedziałem car Alexander przez długi czas szanował przywileje nie tylko majętniejszej, rozległe, gruntowe dobra posiadającej szlachty, ale i biedniejszej która uprawiała własną ręką swoją lub cudzą ziemię, która zatrudniała się przemysłem, służbą i dorobkiem. Za dni jego moskiewska administracja co do skarbu i wojskowości, o tyle mniej była uciążliwa dla tego stanu, o ile główne ciężary na nieszczęśliwego tylko chłopa spadały. Mikołaj dalej sięgnął. Dzisiejsze przesiedlenia, dzisiejsze prześladowanie drobnej szlachty są tylko dalszym, nieprzerwanym ciągiem systematu przezeń zaczętego w r. 1828. Ukaz jego z marca r. 1828 odsądza od prawa wybierania urzędników ziemskich, obywatelskich, i od prawa obieralności, każdego szlachcica polskiego, który nie ma czynu, to jest który nie był pierwej sługą moskiewskim cywilnym, lub wojskowym. Dla czego? Rzecz naturalna! Trzeba było pierwej zyskać ufność rządu, czyli zostać zdrajcą swoich, szpiegiem, żeby móc obierać urzędników obywatelskich, albo samemu być obranym. Nikt zaś oficerem w wojsku moskiewskim, lub czynownikiem być nie może, kto nie złoży dowodów szlachectwa. Dzieci polskie temi dowodami nieopatrzone, w szkołach publicznych, skutkiem innego ukazu (z tegoż roku) skazującego całe pokolenia na ciemnotę, edukować się nie mogły. Coraz ostrzejsze z Petersburga postanowienia w tym względzie wychodziły; związek ich, stopniowanie, cel, były widoczne: zamierzała Moskwa prędzej jak dozwolały przepisy zdrowej polityki, odmienić stan najliczniejszej klassy ludzi wolnych, mówiących i czujących po polsku w zabranych guberniach.

Żeby drobnego szlachcica uczynić chłopem, rozkazał car nowym ukazem legitymować się całej szlachcie polskiej — wszystkim, którzy byli, lub od niepamiętnych czasów uchodzili za szlachtę. Z tąd oczywiście dwojaka korzyść dla skarbu moskiewskiego: naprzód z umniejszenia liczby głów, co dotąd podatku nie płaciły na zasadzie szlachectwa; powtóre ze zbogacenia heroldyi petersburskiej to opłatami od stempla zatwierdzającego dawne dokumenta, to przekupstwem urzędników komissyi którzy za pieniądze stwierdzali i podrobione dowody. Polska, jak wiadomo była i jest dzisiaj jeszcze krajem herbów. Ale na nieszczęście, kiedy powychodziły owe ukazy, nie w każdym domu szlacheckie dyploma się znajdowało. Niedbałością, pożogą wojen, tułactwem, zaginęły. Nie każdy szlachcic tradycyjny mógł sobie kupić sankcyą tytułu, który go czynił panem samego siebie. Wreszcie od heroldyi zależało i najprawdziwsze dowody podać w wątpliwość, odsądzającą wolnego dotąd człowieka od praw obywatelskich, przemieniającą go w chłopa, to jest w cudzą własność, w rzecz, w cień! Tak np. jedną dzielnicę Tyszkiewiczów domu bardzo znanego w Litwie, uznała ta heroldya za chłopów: lecz to właśnie była dzielnica najbogatsza, i musiała kilkakroćstotysięcy rubli urzędnikom heroldyi za potwierdzenie swego szlachectwa zapłacić.

Te ukazy cara, dlatego tu na wzmiankę zasługują, że do rozpaczy przywiodły znaczną massę, że kilkakroć stotysięcy Polaków oburzyły. Owa np. część takiej szlachty, która przed ukazami dobrowolnie zaciągnęła się do szeregów moskiewskich z nadzieją awansu, a po ukazach nagle znalazła się w perspektywie długoletniej służby w stopniu prostego żołnierza — związkami krwi połączona z tymi co przedtem awansowali: małyżto był żywioł powstania w samym wojsku moskiewskim? Rewolucya 29-go rachowała na to oburzenie. Nie trudno było przewidzieć, że pół miliona Polaków bez namysłu porwie oręż w sprawie, która ich wyrwać mogła z osobistej niewoli. Pół miliona najbitniejszego ludu na świecie!

Zapewne, wielkie jest imię ojczyzny, całości, niepodległości. Święta to rzecz dla każdego Polaka; lecz dobrze także wiedzieć: jaki interes, prócz tego szlachetnego uczucia, ożywiał nasze massy, i co je szczególniej w guberniach zabranych, mogło do udziału w tem powstaniu pobudzać.

DYKTATOR MIMOWOLI

Tegoż dnia wieczorem po raz pierwszy zjawił się w rządzie generał Chłopicki, którego rewolucya i Rada administracyjna, obiedwie w innym celu, szukały od dawna. Obecność, groźna nawet postawa carewicza, fałszywe przekonanie o potędze samodzierżcy, i o sile narodu polskiego, nade wszystko zaś brak tego młodzieńczego zapału, którego nic nie zastąpi, nic nie ocuci w duszy ludzkiej, jeśli raz ostygnie, postawiły go od razu na tym punkcie widzenia całej rzeczy, z którego aby przezeń widziana była życzył sobie minister skarbu, i ci wszyscy którzy jego widoki popierali. Kontrrewolucja rzucała się w jego objęcie. Jemu nad wojskiem poruczała dowództwo, wiedząc z pewnością, w jakim je celu przyjmuje. Chłopicki uiszczał się z tego co było dawniej powiedział chcącym go wciągnąć w przysiężenie: „że od powstańców nigdy żadnej władzy nie weźmie". Brał władzę, ale z rąk rządu działającego jeszcze w imieniu Mikołaja. Brał ją nie w interessie powstania, lecz przeciwnie, (i tego przed rządem nie ukrywał) na buntowników, „dla przywrócenia porządku" — jak się wyrażał — „dla powściągnienia rabunków, dla ujęcia w ryzę rozpasanego żołnierstwa" — i to tylko ponieważ wzywano go imieniem Mikołaja. Słowa te oddające wiernie charakter, wyobrażenia, zamysły człowieka w którym lud i wojsko pokładało zaufanie nieograniczone, nie sprawiły na członkach Rady administracyjnej przykrego wrażenia. Owszem ten jawny wstręt, ten ostry język, to lekceważenie, ta nawet wzgarda unoszącego się za nim samym zapału powszechnego, czyniły go tem niezbędniejszym w przekonaniu rządu. U celu życzeń wszystkich znalazł się na koniec mąż wszystkim przeciwny. W nim tedy oczywiście przychodziło do uosobienia i siły, czem za zgodą i dopuszczeniem ogółu było można interes rewolucji według coraz innych partykularnych widoków, chwilowych okoliczności, potajemnych kabał, albo zastanowić i w pewnej mierze utrzymać, albo cofnąć wstecz, albo wreszcie nadać mu kierunek upodobany, nakłoniony do pewnych indywidualnych pojęć, uprzedzeń, małości.

Układano pierwszy rozkaz do wojska. Chłopicki długo się wahał jakby go podpisać. Tytułu wodza naczelnego, dowódzcy siły zbrojnej, brać nie chciał. Prawdziwy „wódz naczelny" był brat cara. Po wielu odmianach położył obok nazwiska swego tylko tytuł generała, którego mu i Moskwa nie odmawiała. Ten pierwszy rozkaz zalecał oddziałom wojska pozostać na stanowiskach, które dotąd zajmowały.

O WŁADZY „USTANOWIONEJ NA BRUKU"

Do istnącego złego nowe zło przybywało. Formy legalne zawracały głowy ludziom. Coraz więcej rewolucyjne nazwiska, z sprzysiężenia nawet, wpadały w sieć obszerną, zastawioną przez ministra skarbu. Ten szał prawdziwy rewolucyonizowania rządu Mikołeja, rewolucyonizowania starej zepsutej machiny, władzy nawskroś przesiąkłej moskiewczyzną, to fatalne jakieś, które się u Lelewela uchwyciło, wyobrażenie, że „pod imieniem Mikołaja z Mikołajem walczyć możemy" otwierało kontrrewolucyi, otwierało fałszywej polityce, zgubnym zamiarom pośrednictwa, pół-środkom bojaźni i niechęci pole do dalszego zawodu, do intryg i zabiegów wszelkiego rodzaju. Lubecki na miejsce Bolesty przeparł w radzie administracyjnej nominacyą dla Tomasza Łubieńskiego, na Wice-prezydenta miasta, ażeby za jego pomocą utworzyć zupełnie podług swej myśli radę municypalną. Łubieński zbiera i zagaja po południu (we środę) tę radę; wystawia jej, że ponieważ w tej chwili rząd jest zajęty ogólnym kierunkiem politycznym, do obywateli więc należy utworzyć ciało, któreby działało na ducha publicznego w stolicy i zaprowadzało porządek: że w tej mierze mają świetny przykład przed sobą, rewolucyą lipcową w Paryżu, gdzie także rada municypalna wszystkiem kierowała nim się rząd ustalił. Naszym epistierom tego tylko było potrzeba. Ci tak zwani obywatele Warszawy zostali reprezentantami ducha stolicy, chociaż przez godzin kilkadziesiąt powstającemu wojsku chleba i mięsa odmówili, chociaż wyraźnie zamknęli się przed rewolucyą. Odtąd aż do dyktatury Łubieński zostawiwszy Węgrzeckiemu drobnostki i szczegóły, był ciągłym reprezentantem w rządzie (gdzie de facto zasiada) opinii zrewolucyonizowanej stolicy. Tam zawsze przemawiał w imieniu mieszkańców! Do jego zdania odwoływał się Lubecki wiele razy była mowa np. o tem, żeby nie atakować W. księcia, żeby nie wprowadzać więcej wojska, nie dozwolić wolności druku, nim zapadnie w tej mierze prawo szczegółowe — co wszystko naturalnie zgadzało się z życiem obywateli! Ten Tomasz Łubieński — ta prawa ręka Lubeckiego, ta żywa, uosobiona kabała kontrrewolucyjna dalej jeszcze rozciągał wpływ rady municypalnej, gdyż wyższym władzom już po modyfikacji rady administracyjnej odrębnych dodawał inspektorów (nieraz z tajnej policji) przekładając, że obywatele nie ufają żadnym urzędnikom! — Brat jego Piotr Łubieński poruczał dozór nad uzbrojeniem straży bezpieczeństwa inspektorom z pozostałej policji W. księcia.

Z tego wszystkiego wypływał naturalny wniosek: że rząd paraliżuje sprawę rozpoczętą w nocy 29. listopada; — a zatem należało go obalić. Niektórzy spiskowi poznali nakoniec, do czego zmierzały kroki rady administracyjnej. Postanowili tedy zebrać się, wyjść z dotychczasowej bezczynności i pierwej zwyciężyć kontrrewolucyą, nimby powstaniu nadali lepszy kierunek. Dokazali oni tego w części, ale tylw części. Było kilkadziesiąt zbrojnego ludu, który się wałęsał po ulicach, i na wiatr strzelał. Jeden więc tylko środek ocalenia sprawy pozostawał: uchwycić tę siłę, ten ruchomy materyał i obrócić przeciwko radzie administracyjnej. Wszystkie władze tchnęły złym duchem; były słabe i niepopularne: więcej intrygowały, jak rządziły. Jedna władza nadająca silny popęd miejskiemu ruchowi, koncentrująca w sobie całą potęgę opinii, komunalna, prawdziwie municypalna, słowem władza ludu, wyprowadzona z ludu, ustanowiona na bruku, mogła bardzo łatwo zwyciężyć ten opór miejscowy, ukarać intrygę, znieść magistratury kontrrewolucyjne, a co najważniejsza, przez rozbrojenie W. księcia i jego gwardyi prawdziwe zamiary i kombinacye powstania wychylić z ukrycia; albowiem, co do tego ostatniego najważniejszego punktu, było rzeczą widoczną, że oddalenie się carewicza z wojskiem już będące w myśli Lubeckiego, będące nawet w trakcie układów między Konstantym i radą adaministracyjną, sprawi w ziemiach przez Moskwę zabranych najgorsze wrażenie, rewolucyi 29. nada tylko lokalny fałszywy charakter i od razu w niwecz obróci wszystkie środki pomknienia insurrekcyi w głąb kraju za Bug i Niemen.

KONTRREWOLUCJA I KLUBY

Rada administracyjna była zniszczona. Teraz pozostawało: okrzesać, a jeżeliby się udało całkiem usunąć wpływ osób, które jej swego udzielały kredytu. W tej myśli poszedłem na klub. Za wiele jednak liczyłem na wpływ, jaki mi się w tem zgromadzeniu osiągnąć udało bez szczególnych starań, prawie przypadkiem, za wiele podobno na wytrwałość w przedsięwzięciu, na konsekwencyą logiczną ruchomej, lekkowiernej massy, która póki Konstanty stał za rogatkami spojna i zgodna, łatwo się rozpierzchała gdy pierwsze minęło niebezpieczeństwo. Nie było to ciało porządnie uorganizowane. Kto chciał zapisywał się w poczet członków klubu; wejść tam i wyjść nikomu nie wzbraniano. W to też ugodził Lubecki. Każdą instytucyą najlepiej, najłatwiej psuć przez nią samą, ze środka. W duchu tej zasady nasłano więc tego wieczora mnóstwo osób na posiedzenie klubu, żeby się w imię miłości ojczyzny sprzeciwiały dalszym środkom jej ratowania. Posiedzenie było niezmiernie liczne, i jak ciągle, zbrojne. Officyaliści Lubeckiego, którzy bardziej hojnego ministra finansów jak Polskę Zygmuntów kochali — przyjaciele, domownicy, assystenci i kuzyni wielkich panów, którzy rozprzężonej rewolucyi bardziej jeszcze niżeli obcego despotę nienawidzili — uczniowie uniwersytetu, których poczciwe serca, ale za staraniem Szaniawskiego dobrze przyćmione głowy, profesor Szyrma, osobistą ku mnie niechęcią powodowany obłąkiwał, których imaginacyą podburzał wystawianiem skutków domowej niezgody, którym kazał wierzyć w Lubeckiego i Chłopickiego jak w ewangelią — dalej poczet episierów i obywateli Łubieńskiego — dalej wielu jeszcze nieodkrytych członków policyi tajnej, co o własne drżeli życie, a w klubie szubienicę dla siebie przeczuwali — dalej nakoniec adjutanci, cały dobry ton sztabu, i członkowie pewnej kongregacyi założonej przez Aleksandra Wielopolskiego w celach paraliżowania klubu: wszystko to, jakby za umówionym znakiem podało sobie ręce, i zeszło się razem w salach redutowych. Rewolucyoniści, radykaliści, spiskowi byli w liczbie daleko mniejszej. Nieprzenikając tej tak prędko dokonanej zmiany, z tą samą śmiałością i otwartością co na pierwszem posiedzeniu mówić zacząłem: — „Przynoszę wam Mości Panowie wiadomość bolesną. Żądania wasze nie wzięły żadnego skutku. Rozwiązano wprawdzie radę administracyjną, lecz rząd tymczasowy jej miejsce zastępować mający bez jej pozwolenia ukonstytuować się nie chce, i jak miarkuję lepszym od niej nie będzie. Mija czas kosztowny ze szkodą kraju. Carewicz uchodzi wolno do ziem zabranych. Ludzie z imionami historycznemi, których mieliśmy za patryotów, nie pozwalają utrudzać jego marszu. Ludzie znani z liberalizmu weszli w otwarte przymierze z nieprzyjaciółmi kraju. Nie ufajmy imionom historycznym. Nie ufajmy żadnej wziętości, żadnej zasłudze. Generał Chłopicki nie dopełnia swego obowiązku" — tu mi zaczęto przerywać, sarkać. W uniesieniu, którego wtedy panem nie byłem, które mi nie dozwalało rozpoznać elementów składających zgromadzenie zawołałem nieroztropnie: — „Mości Panowie, Chłopicki zdradza rewolucyą. Przyszedłem tu oświadczyć wam, że się usuwam od władzy, która naród stawia nad przepaścią. Dokończmy to, cośmy zaczęli, idźmy znowu, idźmy wszyscy razem z bronią, i postanówmy rząd rewolucyjny". Ledwie to skończyłem, powstały głuszące okrzyki jednych bijących na mnie, drugich ujmujących się za mną; a tę okropną wrzawę przecinało świstanie, tupanie i szczęk broni. Grożono mi śmiercią z różnych punktów sali: „zginiesz, zginiesz, — precz ze stołu!" Śród tego hałasu zaczął mówić referendarz stanu Albert Grzymała, twierdząc, że ustąpienie z wojskiem W. księcia przyniesie krajowi wielkie korzyści — że zliberalizuje kraje moskiewskie, i zjedna nam w nich stronników. Pokłóciłem się z Grzymałą. Po nim Wojciech Wołowski, biegły adwokat zabrał głos w ten sposób: — Jedność, zgoda i zaufanie Mości Panowie! Niezgodą, nieufnością upadniemy! I jacyż to, pytam się was, mężowie stanęli na czele? Oto książe wojewoda Adam Czartoryski, Polak cnotliwy, oto Niemcewicz, którego sędziwa starość niepodpada zarzutowi, oto Chłopicki, ten

prozy

w roku 1830 i 1831"

wielki żołnierz Napoleona! I któż to tu poważa się ich oskarżać o zdradę? Oto człowiek nieznany, młody, namiętny i ambitny, który tylko samego siebie wynieść pragnie. Przeciwię się zdaniu preopinanta. Jego porywczość najwięcej szkodzi sprawie naszej. Trzeba działać, ale z pomiarkowaniem. Trzeba dać czas mężom stojącym na czele. Wreszcie jest tu drugi członek rządu Ksawery Bronikowski. Ten niechaj powie: czy rząd, czy ci mężowie działają rewolucyjnie albo nie? Niechaj to powie pod słowem honoru. — Oklaski przerwały mówiącemu, równie huczne, jak było głośne szemranie, które mnie do milczenia przywiodło. Nagle wszystkich oczy obróciły się na prezydującego Ksawerego Bronikowskiego. Nastąpiło głębokie milczenie. Bronikowski wystąpił na stół i rzekł: „jako świadek dzisiejszych czynności rządowych, zeznaję pod słowem honoru, iż rząd działa rewolucyjnie". To powiedziawszy umilkł. Był to dekret śmierci dla klubu. Jak kłosy powiewne są fale opinii. Wtedy dopiero powstały na mnie groźne odgłosy, gesta nawet. Ściśniono mnie do koła. Chciałem poprzeć moje zdanie, usprawiedliwić wyraz zdrady, lecz mi tego oburzenie powszechne nie dozwalało. Niezważając na opór wskoczyłem na stół z karabinem w ręku. Porwano mnie gwałtem ze stołu i przyłożono bagnet do piersi. Zgroza doszła do tego stopnia, że jedynie przyjaciołom, którzy mnie w tej chwili otoczyli i wyprowadzili z sali na dziedziniec, winien byłem ocalenie mego życia. „Oszczerca — terrorysta — Robespierre polski" — to mnie tylko, gdym co tchu umykał, zalatywały odgłosy. — Dlaczego jednak Bronikowski, z którym oddawna zostawałem w stosunkach najściślejszej przyjaźni, z którym razem siedziałem w więzieniu u karmelitów przed rewolucyą, zadał mi publicznie tak wyraźną nieprawdę? Dzisiaj jeszcze dobrze nie pojmuję. Działaliż ci ludzie rewolucyjnie, którzy carewiczowi z wojskiem uchodzić pozwalali? Czyż to Bronikowskiemu wiadome nie było? Lecz może go do tego zaprzeczenia ówczesny skład klubu zniewalał; może w rzeczy samej takie miał przekonanie; może też nie chciał tak ostro zerwać z ludźmi, których (daleko przezorniejszy odemnie) pokonać nie spodziewał się: jakożkolwiekbądź ten krok z jego strony był bardzo niepolityczny: gdyż wkrótce potem zaczęto wołać: „precz z klubistami — klub niepotrzebny — niech żyje książę Adam, i Chłopicki!" Akademicy pogasili świece i dogorywające lampy. Adjutanci dobyli szabel krzycząc „niech przepadną zapaleńcy!" Tych, którzy posiedzenie przedłużać chcieli, rozpędzono bagnetami. Nazajutrz puszczone zostało pismo peryodyczne pod tytułem Polak sumienny, z drukarni bankowej, będącej pod rozkazami ministra skarbu. Partya Lubeckiego zrobiła mi ten honor, że pierwsze kolumny swego urzędowego organu poświęciła zarzutom przeciwko mnie wymierzonym, nie bardzo jednak sumiennym. Prócz tego oddzielnych mnóstwo paszkwilów rozrzucono w mieście i po województwach. Niezrażony bynajmniej ani wczorajszą sceną na klubie, ani artykułem gazety, widząc, że klub częścią przemocą, częścią intrygą zachwiany nie mógł być dłużej instrumentem rewolucyjnym, postanowiłem chwycić się ostatecznego środka i spróbować, czy się nie uda złamać rosnących przeszkód jednym zamachem, silniejszym niżeli wszystkie poprzednie. W tym celu zrana dopadłszy konia przebiegałem ulice Warszawy, przekładając oficerom i żołnierzom, jak źle rzeczy stoją. Argument: „że trzeba dopędzić carewicza, wziąć gwardyą w niewolę, a usunąć tych co ją puścili" — trafiał do przekonania wielu. Dowódcy małych oddziałów nie sprzyjali Lubeckiemu, w części już i Chłopickiemu. Gdzie mógłem napomykałem na wodza Szembeka, jako tęgiego żołnierza, a najznaczniejszego Polaka. Obiecywano mi pomoc w potrzebie. Zaawanturowałem się, że tak powiem, nadto daleko, żebym mógł cofnąć kroku. W tych zabiegach było tyle prawie rzetelnego przekonania, iż to, czego chciałem, zbawi sprawę, ile namiętności, w części nawet względu na niebezpieczeństwo osobiste. Nie tracąc ani jednego momentu udałem się potem do szkoły podchorążych, która na ulicy Orlej stała pod gołem niebem. Tu przeciwko obrotowi, jaki rzecz brała, panowało największe nieukontentowanie. Szkoła podchorążych wszystko wtedy mogła. Miałem tam wpływ przez brata i wielu przyjaciół. Oświadczyłem wręcz tej dzielnej młodzieży: „że Chłopicki zawodzi nadzieje narodu; że Lubecki powagę księcia Czartoryskiego, Niemcewicza i innych patryotów przeciwko powstaniu obraca; że nakoniec jeżeli szkoła, która zaczęła rewolucyą, nie zbawi jej w tej zaraz chwili wielką energią, wszystko niepochybnie wróci do dawnego porządku". Podchorążowie usłuchali mnie; zaczęli nabijać karabiny. Zamiarem moim było pójść z nimi natychmiast do banku — po co? Na to odpowiadam szczerze, jak natenczas myślałem: ażeby pewien mózg finansowy prysnął jeżeli nie pod same gwiazdy — według wyrażenia Hejnego — to przynajmniej pod sklepienie bankowe i tym sposobem zreflektował inne mózgi mniej zatwardziałe. Umarli bowiem nie tylko nie mówią, ale mają jeszcze i tę zaletę, że się nie mylą i pomyłkami swemi kraju w przepaści nie ciskają. Ten ostatni argument mógł wymowniej niżeli klub dowieść „czego chce rewolucya". Ale Piotr Wysocki spotkawszy przypadkiem szkołę i mnie na Lesznie, gdy mu oznajmiliśmy zamiar udania się do banku, wahać się począł; „kogoż szanować będziemy — mówił — jeżeli nie tych, którzy teraz wspólnie z Lubeckim działają? Wiem ci ja, że rzeczy źle poszły, lecz bez wielkiego rozlewu krwi, tych przeszkód nie pokonamy". Mimo nieograniczone zaufanie, jakie szkoła pokładała w szlachetnym charakterze Wysockiego, nie odrazu te słowa trafiły do jej przekonania. Ja prosiłem Wysockiego, żeby stanął na naszem czele, i prowadził nas do banku. Starałem się wmówić w niego, że jemu jako twórcy rewolucyi rząd nowy w tym charakterze ustanowić wypada. Świadomsi interesu publicznego podchorążowie przekładali mu, że się obejdzie bez rozlewu krwi; ja mu szepnąłem w ucho, „że tylko jedną głowę, która kieruje kotrrewolucją, poświęcić trzeba". Natenczas Wysocki klękając na bruku przed szeregiem, powiedział: „nieinaczej jak po moim trupie pójdziecie do banku". Szkoła wróciła zaraz na swoje stanowisko. Zamiar spełzł na niczem — ale mnie wprawił w największe niebezpieczeństwo.

Walka opinii, trwająca na wielu punktach stolicy, posiedzenia klubu, coraz ściślejsze związki żołnierza z ludem, naturalne z tąd wynikające osłabienie karności w wojsku: wszystko to tak dalece oburzało generała Chłopickiego, że kilka razy w tych dwóch dniach chciał dowództwo naczelne składać. Był w ciągłem ten generał rozjątrzeniu, w ciągłej gorączce. Wielki książę miał sobie zaręczony wolny usięp z królestwa: tymczasem oddział szasserów pod Skarżyńskim dla odwetowania na Moskalach niesławy w opinii, napadł na tylną straż Konstantego. Chłopicki dowiaduje się o tem i narzeka w wyrazach najostrzejszych na niesubordynacyą. Doniesienia przesadzone, zapewne to o tem co klubiści przeciwko niemu mówili, to o tem co dopiero zaszło w szkole podchorążych, przysparzały mu niesmaku i żółci. Dalej dwa tylko pułki miały być w mieście, Szembeka i Skrzyneckiego: inne otrzymały rozkaz pozostania w okolicach, które zajmowały: tymczasem Krukowiecki, jakby na nieszczęście, zjawia się w Warszawie! Chłopicki go widzi, łaje od słów ostatnich, w odwecie słyszy od niego równie cierpkie wyrazy, wpada w największą furyą, dostaje rodzaju apopleksyi i kładzie się do łóżka. To ostatnie zdarzenie mnie przypisano. Partia Lubeckiego kazała zaraz rozgłosić, „że ja wszedłem do mieszkania generała Chłopickiego i nazwałem go zdrajcą, rozgniewało generała, że zasłabł niebezpiecznie, i o mało życia nie stracił". W skutku tej wieści, która się jak błyskawica rozleciała, lud i wojsko napełniło plac przed bankiem i dziedziniec pałacu Zamoyskich, gdzie Chłopicki, jak mówiono, dogorywa. Powstała wielka eksasperacya; kotary czarne i zielone spuszczone na znak żałoby z okien słabego generała, okazywały niebezpieczeństwo. Pospólstwo w kilku punktach stolicy zaczęło stawiać szubienicę dla mnie; żołnierze rozsiekać mnie chcieli, a Lach Szyrma, komendant akademików, rozstrzelać. Ten profesor rzeczywiście złożył na mnie sąd doraźny, otoczył strażą dom, gdzie mieszkałem, kazał zabrać papiery i ogniste w imieniu gwardyi akademickiej rozpisywał adressy do księcia Czartoryskiego, do Chłopickiego, do Lubeckiego, do Niemcewicza, zaręczając, „że akademia swój sztylet utopi w piersiach zapaleńca, który tych znakomitych mężów śmiał obrazić". Nie mogłem nigdzie przechować się w Warszawie: poszukiwany wszędzie. Otoczony nagle przed bankiem od pospólstwa i żołnierzy, musiałem przyjąć w tem położeniu ofiarowane sobie w rządzie schronienie — w pokojach tego samego ministra, który całą na mnie stolicę obruszył.

Kontrrewolucya wychodziła zwycięsko z zapasów z klubem, który nasławszy dużo strachu osłabł i rozsypał się jak każde zbiegowisko nieuorganizowane, podobny osie, która po ukłuciu natychmiast żądło traci i umiera.

„WIELKI PACJENT REWOLUCJI"

W skutek owej zatargi z Krukowieckim, oraz wielu innych przyczyn, o których nieco wyżej napomknąłem, Chłopicki, człowiek porywczy, temperamentu nadzwyczaj gwałtownego, zapadłszy w ciężką niemoc, kazał sobie krew puścić, i przez cały dzień, czwarty grudnia, chorował. Dowództwo naczelne złożył, i zaręczał uroczyście, że go napowrót nie weźmie. Błaganie, prośby nic nie pomagały. W wojsku panowała ta idea, że tylko on, a nikt inny na pole chwały wyprowadzić je potrafi. Naród cały podzielał to uprzedzenie. Bohater w łóżku tem jaśniejszą chwałą był przyodziany: tem silniejsze na klubistów, że go o słabość przyprawili, powstawały okrzyki. Wszelkie imie popularne zagrożone, jak wiadomo, w większą tylko rośnie potęgę. Klub w tem nieszczęśliwem wydarzeniu grał tedy rolę machiny piekielnej, która pękając, zamiast zniszczyć, silniej jeszcze władzę przez ten zamach wylecić mającą w powietrze, ugruntowała w opinii.

Od niebezpieczeństwa do ubóstwienia krótka droga. Chłopicki został kolosem. Dnia 5. grudnia z rana rząd tymczasowy, który potrzebował zbrojnej podpory, wyprawia do niego w poselstwie, po wielu poprzednich staraniach, księcia Czartoryskiego i Niemcewicza. Ci dwaj, w towarzystwie Władysława Zamojskiego, wszedłszy do pokoju wielkiego pacyenta rewolucyi zaklinali go w imieniu ojczyzny, żeby tej sprawy nieopuszczał. Nie odrazu jednak Chłopicki myśl swoją objawił. Wymawiał się najuporczywiej od przyjęcia dowództwa nad wojskiem z władzą nawet nieograniczoną, jaką mu dwaj członkowie rządu ofiarowali. Długo trwały namowy, zaręczenia, że mu wszystko będzie posłuszne. Niemcewicz, gdy prośby jego niebrały skutku, rozpłakał się. Wtedy nareszcie Chłopicki zrywa się nagle z łoża, i powiada: „ponieważ panowie tego koniecznie chcecie, to dobrze! — wezmę władzę w ręce ale władzę nieograniczoną — dyktatorską — innej wcale niechcę. Potrzeba mi dyktatury do utrzymania karności". Księciu Czartoryskiemu i Niemcewiczowi podobała się ta myśl, której jednak w jej całej rozciągłości natenczas nieobejmowali. Władysław Zamojski ujął za nogi Chłopickiego, dziękując mu rzewnie imieniem ojczyzny, że taką, jak zbawienną dla nas otwierał drogę. „Wezmę dyktaturę do zebrania się sejmu" — mówił dalej Chłopicki — „ale panowie, to sekret największy — pan Niemcewicz niechaj mi zaraz napisze proklamacyą do wojska!" — Obecni odeszli z niemałą w sercu pociechą.

ARYSTOKRACI

Co do siły, zaprzeczeniu nie podpada, że arystokraci (przywiązując do tego nazwania ówczesne tylko, miejscowe znaczenie) mieli największe majątki, najrozciąglejsze konneksye, pod pewnym nawet względem najwięcej biegłości w sprawach, to jest: mieli prawie wszystko, co potrzeba do ukonstytuowania się w przeważne stronnictwo, do utworzenia mocnej ligi, któraby wszystko skoncentrowała w sobie,

Maurycy Mochnacki

wszystko zwróciła do jednego celu i zawładnęła ogólnym popędem. Lecz widzieliśmy, jakie było dotąd ich postępowanie w rewolucyi. Nasamprzód występują na scenę jako nieprzyjaciele powstania: odbudowują stary rząd; wchodzą do niego — mocują go całym kredytem swoim, nawet tą popularnością, jaką zyskali z okazyi sądu sejmowego; porozumiewają się z Wielkim księciem; ułatwiają mu ustęp z królestwa; gwałcą zatem rewolucyą na miejscu, wyrządzają narodowi niepowetowaną krzywdę. Pokonawszy rewolucyą w mieście, ubezpieczają się przeciwko niej dyktaturą; otaczają dyktaturę: legalizują dyktaturę w sejmie. To pomimo wykroczeń przeciwko rewolucyi, niepomnażało ich wziętości. Mogli zostać silną partyą, mogli zostać partyą narodową, mogli nadać swój wyłączny kolor powstaniu, ale, że działali od samego początku źle, że działali kontrrewolucyjnie i niepolitycznie, przeto jako partya drobnieli w sobie i stawali się małą fakcyą — fakcyą coraz mniejszą, popełniającą coraz grubsze błędy, wyrządzającą sprawie coraz większe krzywdy. Te błędy, i te krzywdy trzeba jednak policzyć raczej na karb dziecinnej obawy jakobinizmu, wykrzywiającej ich zdanie, niżeli na karb sumienia i charakteru, bo w gruncie byli to ludzie prawi i dobrzy, tylko że zostawali pod mocą jakowegoś fatalnego pod tym względem olśnienia. Z drugiej strony przyznać także należy, iż co psuli tą polityką swoją, to w części naprawiali swemi imionami, swym wpływem. Mówię to, ponieważ znam ducha narodu i okoliczności miejscowe. Jakożkolwiek szlachta polska nigdy arystokracji z prawa stanu ukształcić u siebie nie pozwoliła, dużo wszelako pozostało w Polsce respektu dla imion historycznych, poczęści nawet respektu dla większych fortun i dla ostatków większych fortun. Rzecz dziwna: w tym kraju szlacheckiego gminowładztwa, znaczenie panów, zdaje się, nietknięte wybrnęło z ruin rzeczypospolitej, — w tym kraju szlacheckiej tak opryskliwej równości, panowie bez dworów, bez przywilejów, bez asystencyi zachowali jeszcze część niemałą tego wpływu, który gdzieindziej służy tylko uprzywilejowanemu patrycyatowi, arystokracji uorganizowanej, hojnej, posiadającej niezmierne majątki. Wcale nie to, że trzydzieści tysięcy wojska stanęło pod bronią, ani to że stolica powstała: ta jedyna okoliczność, że Czartoryski, Radziwiłł, Pac, znajdowali się na czele spraw publicznych, pociągnęła za sobą niektóre indywidua, tu nawet zakątkach kongresowej Polski, co większa niektóre części ludności w wie. Te stare imiona dobrze brzmiące nad Wisłą nabywały coraz większej mocy w pewnych odległościach od Wisły, szczególniej ku kończynom Rzeczypospolitej. W Litwie i na Rusi były bardzo silne: tam miały walor nieoszacowany dla powstania. A zatem: arystokracya jako władza, jako będąca we władzy ścieśniała sprawę na miejscu, zamykała ją to w Warszawie, to w ośmiu województwach; zaś arystokracja jako rodzina, jako zabytek dawnej oligarchii rozszerzała tę sprawę imieniem swojem za Warszawą, czyniła ją podobną i więcej powszechną mianowicie w tych ziemiach, których połączenie z królestwem było celem insurrekcji. W pewnych odległościach od ogniska rewolucyi nie pytano się: czy rząd działał dobrze albo źle? Przestawano na tem, że książe Adam zasiada w rządzie

REWOLUCJONIŚCI

Rewolucyoniści mniej jeszcze mogli jak kaliszanie, lecz mieli przed sobą zawód obszerniejszy, więcej pola do popisu na tej scenie. W tej partyi było sprzysiężenie, z którego rewolucya bezpośrednio wyniknęła. Wszakże noc 29. chybiła swego celu. Nieprzyjaciel słabszy liczbą niezłożył oręża w stolicy. Pierwsze nieszczęście, pierwsza klęska rewolucyonistów! W klubie był drugi moment owładnienia publicznego interesu. Z tego momentu nie korzystano. Drugie zatem nieszczęście, druga klęska rewolucyonistów! Nakoniec gdy się rzeczy cokolwiek ukołysały, gdy sprzysiężenie włożyło oręż do pochew, gdy szkołę podchorążych rozproszono po pułkach, gdy młodzi podporucznicy garnizonu stołecznego, ludzie szlachetni i bezinteresowni dawszy hasło krajowi do powstania najwyższe szczęście, najwyższy zaszczyt dla siebie w tem upatrywali, aby się całkiem uchylić z widoku publicznego: partya (jeżeli tylko to partyą nazwać się godzi, co przez chwilę reprezentowało nie tylko Polskę kongresową, ale cały wielki naród) pozbawiona swego głównego bo wojskowego pierwiastku zmalała natychmiast. Pozostali cywilni wojskowi, nawet po przybraniu do swego grona znacznej liczby niespiskowych, znaleźli się sami, bez wpływu, bez znaczenia bez fortuny. Do braku wszelkich środków działania przyłączył się w tem bardzo wyosobionem gronie, brak wewnętrznej karności. Niekarność, małe namiętnostki, drobna ambicja, zazdrość wzajemna, źle zrozumiany indywidualizm, niepowściągniona, nieukrócona chętka wyprzedzania się jeden drugiego, powiększały się stopniowo. A jednak gdy dyktatura zawodziła nadzieje narodu, gdy wyraźnie zdradzała sprawę, cóż właściwszego być mogło dla rewolucyonistów osobliwie, po wyłączeniu się wojskowych, jak wejść z jedynym i naturalnym sprzymierzeńcem swoim, z ludem stolicy, w bliskie i ścisłe stosunki? Do tego potrzeba było mieć tylko dzielniejszego naczelnika; cokolwiek więcej ducha partyi; więcej uległości dla przepisów stanowiących taktykę i moc partyi, więcej zgody między samemi sobą, mniej partykularnych, drobnych, osobistych interesów. Miasto miało swoje tradycje rewolucyjne, ocucone jak zaraz obaczymy, nową, spólną podnietą. Stolica, jako kolebka powstania, mogła, powinna była odegrać ważną rolę. Ten lud 94. roku nie miał swego urzędu municypalnego; nie miał nigdzie swej odrębnej, sobie właściwej reprezentacyi. Winy rządu — ułomność innych partyi przestały być tajemnicą. Jakież materyały, jakie pole do zbudowania czegoś na bruku warszawskim, coby wyobrażało rewolucyjną gminę, siłą nieodpartą miejscowości prędzej lub później podbiło pod posłuszeństwo swoje rząd, sejm, wszystkie nakoniec władze? Lecz nie było nikogo popularnego w starem mieście. Rogate czapki nie miały przywódzcy. Partya rewolucyjna, partya Lelewela, w całem ciągu powstania nie zdołała wyrobić w sobie tego wysokiego i zarazem rzetelnego pojęcia insurrekcyi — insurrekcyi nieustającej na bruku warszawskim. Arystokraci nie mogli przyjść do wyłącznego wpływu, bo z bojaźni rewolucyi społecznej wciąż grzeszyli przeciwko insurrekcji; bo nie stali na gruncie powstania; bo lękając się demagogii tulili się pod skrzydła dyktatora, jako najsilniejszego nieprzyjaciela ulicznych zgiełków, a zatem tracili wziętość i zaufanie.

NA PARYSKIM BRUKU

Paryż, dnia 12. lipca 1832. Rue de Rivoli. Hôtel de la Terasse Nr 50.

Przyczyna żeśmy prawie od półtora miesiąca nie pisali, azatem żadnego nawzajem listu nie odbierali z Polanki, było ciągłe oczekiwanie ważnego jakiego zdarzenia, w skutku którego możnaby napisać coś stanowczego, i wziąść jaką radę. Zacząłem był pisać na dniu pogrzebu Lamarka 6. Czerwca wśród wielkiego hałasu w Paryżu, ale siódmego podarłem list. Te dwa dni 5. i 6. Czerwca, w których mnóstwo warjatów zginęło dla rzeczy pospolitej, w których Polacy żadnego udziału nie mieli zaszkodziły jednak tak nam, jako i całej sprawie europejskiej wolności. Wojsko liniowe i gwardia narodowa, to jest: siła zbrojna nie myśląca i majątek uzbrojony myślący, to wszystko szczerze się biło z republikanami, których męztwu heroicznemu wydziwić się nie można, ale których porywczość niepohamowana żadnemi względami wszystko zepsuła, wszystko skompromitowała. Widziałem stosy trupów samej młodzieży, wystawionych do rozpoznania nad Sekwaną. Miły Boże! nikt się do nich przyznawać nie chciał! Żadnego nie było starszego nad lat dwadzieścia, a rany, to w głowę, to w piersi. Władza upoiła się roskoszą zwycięstwa. Mierni, ale przezorni przyjaciele monarchii, która w błocie Paryzkim się urodziła, myśleli, że wielkich rzeczy dokonali zwyciężając garstkę młodzieży, garstkę desperatów wielkiemi massami jazdy i piechoty liniowej. Po tem zwycięztwie władza wybiegła z granic swoich, ogłosiła się za nieograniczoną, absolutną w Paryżu, to jest: w całej Francyi, bo system administracji jest centralny. Oblężenie stolicy żadnego wrażenia nie sprawiło na jej massach. Nie dziwię się, że Francuzi rzeczypospolitej nie chcieli, to rzecz bardzo naturalna. La republique n'est pas pour des Epiciers. Ale że po zwycięstwie nad rzecząpospolitą, którą utłumić pomogli rządowi, dali sobie odjąć wszelkie swobody prawem zabespieczone, że najnikczemniejszemu ministerstwu pozwolili dopełnić aktu tak arbitralnego, na któryby się Napoleon nie zdobył w chwilach potęgi swojej; że taki stan rzeczy mógł trwać w Paryżu dni kilkanaście, to przechodzi moje pojęcie. Tysiąc kilkaset osób aresztowano, między niemi dwóch Polaków: Rykaczewskiego i Szwajgiera, których lud na dni pięć postrzegłszy w entuzjazmie swoim dla Polski, porwał, uzbroił i na czele iść kazał; przekonano się o ich niewinności, i przed kilku dniami uwolniono. Sąd kassacyjny z samych prawie Karlistów złożony uznał wszystkie wyroki sądów wojennych za nieprawne. Uczynił to nie z patriotyzmu, ale dla ratowania Karlistów uwikłanych w tę sprawę. Ta decyzja sądu kassacyjnego postawiła ministerium w osobliwszej pozycji. Podług wszelkiego podobieństwa do prawdy powinni oni głowy swoje oddać pod gilotynę za przełamanie arbitralne ustaw, których Francya przez lat trzydzieści walki nabyła. Przyrządzają się więc straszne rzeczy. Znowu ma nastąpić trzęsienie ziemi. Filip boi się zwołać izby. Karliści intrygują, księżna Berry ciągle bawi w Wandei i organizuje wojnę domową. Lipcowi rewolucjoniści postanowili wytępić Karlistów, Paryż zburzyć, monarchią Filipa w powietrze wysadzić, Europę wyswobodzić finalnie. Rząd przewidując to wszystko, ogromnemi massami wojska otacza stolicę. Nie wiem, jak się to wszystko skończy: to pewna jednak, że po śmierci Periego władza straciła głowę. Z tym człowiekiem runął filar de juste milieu. Młody Montalive nie da sobie rady. Soult wyjechał do wód. Dupina wyintrygowano, nie podobały się dworowi jego maniery, jego trzewiki kute gwoździami, jego flamencka faciata. Trwa więc ciągle anarchia w gabinecie Tuileryjskim.

Mieszkamy w najpiękniejszej quartier Paryża. Hotel nasz wytworny ale żeśmy Polacy, więc tani, za dwa pokoiki i gabinet do pisania, za usługę, bieliznę do łóżek, płacimy tylko 40 franków na miesiąc, to jest rzeczą niesłychaną na ulicy Rivoli; o dwa kroki od hotelu mamy ogród Tuilleryjski, codziennie o godzinie 4. do 5. parę tysięcy kobiet, parę tysięcy mężczyzn przechodzi się po alejach tego ogrodu. Tu się zbiega arystokracja finansowa de la Chossé d'Antin z cząstkami feodalnej de St. Germain. Publiczność pochmurna, mało mówiąca, straszna. O kilka kroków mamy plac wielki Ludwika XVI, gdzie mu głowę ucięto, Sekwannę i pola Elizejskie. W tyle hotelu Bulewary i ulica Castiglione, gdzie także są przechadzki bardzo liczne. Nic piękniejszego jak klimat Paryzki w tej porze, jest to ciągła wiosna. W tym samym hotelu mieszka nasz kochany Nastuś Dunin, a o kilkanaście kroków od nas poważny jego generał i bardzo sławny nawet w Paryżu Dwernicki w hotelu Windsorskim. Ja bardzo jestem zatrudniony, piszę wiele i bardzo wiele gram na fortepianie — zostanę artystą z potrzeby. Historia moja, której dotąd wydać nie mogłem wyjdzie niezawodnie w języku francuskim. Pojednałem się ze wszystkimi moimi antagonistami rewolucyjnymi...

Maurycy Mochnacki

Sprawozdania Polskiej Akademii Umiejętności

Ostatni 6 numer „Sprawozdań z czynności i posiedzeń Polskiej Akademji Umiejętności" obejmuje prace przedstawione w czerwcu 1943.

Przeważna część streszczeń dotyczy Wydziału matematyczno-przyrodniczego. Czytelników pisma literackiego może interesować treść siedmiu posiedzeń wydziałów filologicznego i historyczno-filozoficznego. Mamy tu dwa streszczenia prac z historii architektury, oba dotyczące architektury barokowej (Mańkowski i Tatarkiewicz). Filolodzy klasyczni przedstawiają dwa ciekawe studja o literaturze greckiej (Sinko o historycznym pierwowzorze typu nowego poety z „Rzeczypospolitej" Platona: Antymach z Kolofonu). Interesujące dla miłośników polszczyzny są wyniki „studjów nad językiem polskim XVI w. Rosponda, które oświetlają „przełomowości" XVI w. pod względem nie tyle fonetycznym, ile fleksyjnym, słowotwórczym, składniowym i słownikowym". Autor wskazując na bardzo ciekawe typowe fakty językowe przekonywująco zestawia rolę pisarzy początków XVI w. z romantykami, którzy podobnie zrewolucjonizowali język literacki swego czasu „przeciwstawiając językowi książkowemu zwycięsko żywą, potoczną mowę". W XVI w. ten język książkowy, który już ciążył i miał konserwatywnych obrońców, to był niedołężny język modlitewników — „obroków duchowych".

Sama analiza jednak nasuwa szereg uwag i nawet zastrzeżeń natury metodologicznej. Trudno polemizować ze streszczeniem właściwych wywodów. Dla przykładu jednak zwrócimy uwagę na jedną sprawę. Doc. Rospond pisze: „Rzutkość słowotwórcza, swoboda sufiksalna, nieskrępowana tak bogatą jak dzisiaj tradycją literacko-językową oraz w niejednokrotnym wypadku spowodowana brakiem ścisłej determinacji funkcjonalnej przyrostków, sprawiła, że nie brak u autorów różnych pomysłów neologicznych, indywidualnych upodobań słowotwórczych". Autor tu wyraźnie miesza zjawiska należące do dwu różnych (społecznie inaczej funkcjonujących) systemów językowych: komunikatywnego i artystycznego. Autor sugeruje jakby istniał w naszym języku jakiś tylko jeden okres szczególnej swobody słowotwórczej. I wiąże występowanie tego faktu: 1) z brakiem determinantów natury artystycznej (ubóstwo tradycji literackiej), 2) z obecnością determinantów wyraźnie związanych z funkcjonowaniem systemu języka komunikatywnego (nieokreśloność funkcyj przyrostków). Otóż nie kwestionujemy roli drugiego czynnika — ale jego zasięg i wpływ na język **artystyczny** musiałby być szczegółowo przedstawiony.

Drugi argument natomiast budzi poważne wątpliwości. Nikłość tradycji literackiej nie jest tu ważna. Była ona wystarczająco silna. Sam autor o tym mówi cytując konserwatystów, świadomych zwolenników tradycji literacko-językowej średniowiecza, z którymi trzeba było walczyć. W każdej epoce przełomu literackiego mamy takie zerwanie z tradycją literacko-językową poprzedników. Jak była swoboda słowotwórcza doby humanizmu, tak samo potem zjawi się analogiczna swoboda doby baroku, której pogłosy będziemy mieli jeszcze u Naruszewicza itd., aż do Leśmiana i Tuwima. Częstsze zaś występowanie neologizmów w systemie języka artystycznego danego okresu jest problemem dynamiki stylu literackiego tegoż okresu i jako takie musi być rozważane. W konsekwencji nie można powiedzieć, że neologamy zjawiły się w polszczyźnie XVI w., bo język literacki **nie był jeszcze** ukształtowany, ale trzeba odpowiedzieć na inne pytanie: w jakich warunkach okresowe powtarzające się przemiany języka artystycznego dopuszczają swobodę słowotwórczą.

Nikt przecież nie mówił w XVI wieku posługując się tak obficie neologizmami, za to tak pisano w języku literackim. A to nie tłumaczy się brakiem determinantów natury artystycznej, literackiej, ale właśnie tłumaczy się wpływem istniejących wówczas czynników rzeczywistości literacko-językowej i w dalszej konsekwencji społecznego życia literackiego.

Szczególnie ciekawe jest streszczenie, jak się wydaje doskonałej pracy, Z. Stiebera: „Czas i przyczyny zaniku polskiego iloczasu". Autor rozważa czy znane świadectwo Jakuba Parkoszowica w jego traktacie o ortografji dotyczące istnienia jeszcze iloczasu w języku polskim w XV w. jest wiarogodne. Za tą wiarogodnością przemawia dobra orientacja P. w systemie fonologicznym polszczyzny XV w. Stieber szerzej dowodzi tej poprawnej orientacji. W konkluzji przyjmuje, iż „około 1440 r. istniały w polskim fonologicznie długie i krótkie samogłoski a, e, i, o, u, a". Przyczyny zaniku tych różnic ilościowych samogłosek autor widzi we wpływach ruszczyzny. „Na Rusi zaś powód zaniku tych różnic jest całkiem jasny: wytworzył się tam tak silny akcent wydechowy i w związku z tym tak silna różnica ilościowa między samogłoskami akcentowanymi i nieakcentowanymi, że fakt ten (jak już wskazał Jakobson) musiał zniszczyć dawczy iloczas fonologiczny, od miejsca akcentu niezależny". Oczywiście musiały w polszczyźnie działać i czynniki rodzime: różnice jakościowe między długmi i krótkimi samogłoskami.

Wydział filozoficzny odbył tylko jedno posiedzenie w okresie sprawozdawczym, na którym prof. Z. Zawirski przedstawił pracę „Dotychczasowe próby aksjomatyzacji systemów metafizycznych". Arcyciekawe te wywody dotyczą przede wszystkim omówienia prób stosowania metody aksjomatycznej w filozofji w przeszłości. Autor obok Spinozy, Kartezjusza omawia próby średniowieczne, a zwłaszcza najmniej znaną starożytną neoplatonika Proklusa, który dokonał próby aksjomatyzacji fizyki Arystotelesa. Szczegółowe wywody autor kończy następującą cenną konkluzją ogólną: „Jakkolwiek nieudolne i pełne błędów były dotychczasowe próby poprawnej budowy systemów metafizycznych, to jednak nie ulega wątpliwości, że po przeprowadzeniu odpowiednich poprawek i uwzględnianiu stanu wiedzy współczesnej zarówno system Arystotelesa jako też dualizm kartezjański lub monizm Spinozy dałyby się odbudować w szacie poprawniejszej. To samo należy powiedzieć o monadologii Leibnitza, materializmie Hobbesa lub pewnych systemach idealistów niemieckich. Sama bowiem dbałość o precyzję logiczną nie wystarczy, jakkolwiek pewne rozważania teoretyczne mogą niektóre konstrukcje z góry wykluczyć, jako prowadzące do sprzeczności i przez to ilość możliwych interpretacji świata ograniczyć. Aby jednak uzyskać interpretację jednoznaczną, należy nieustannie odwoływać się do doświadczenia, dla pewnych kwestji spornych szukać należy, tak jak się to dzieje w naukach przyrodniczych, jakiejś „instantia crucis" lub „experimentum crucis". I tu jest sprawa najważniejsza: sama precyzja logiczna choćby najdalej posunięta na nic się nie przyda, jeśli konstrukcje teoretyczne nie będą odpowiadać zdobyczom nauk szczegółowych. Jedno nie ulega wątpliwości, mianowicie, że rolę „philosophia perennis" może odgrywać tylko taka filozofia, która w całej pełni i wyłącznie korzysta z metod badań naukowych.

Może się jednak zdarzyć, że pewne problemy filozoficzne dotąd nie rozstrzygnięte, okażą się dla metod naukowych badania w ogóle nierozstrzygalne. Ha, to dopiero dla takich zagadnień można sobie szukać odpowiedzi poza nauką kierując się drogą intuicji czy potrzeb etycznych lub względów praktycznych".

żłk

Już ukazał się bogaty pierwszomajowy numer miesięcznika C.K.W. P.P.S.

„Przegląd Socjalistyczny"

Treść:

P. P. S.: Do ludu polskiego.
J. Hochfeld: Międzynarodówka.
W. J. Preis: Dokąd zmierzają Stany Zjednoczone
W. Zawadzki: Pięciolatka odbudowy i przebudowy.
S. P. Ossowski: Praca i więź społeczna.
K. Dunin-Wąsowicz: Geneza święta 1-szo Majowego (kartki z historii socjalizmu). Na horyzoncie — w Polsce, w ZSRR, w Europie i za Morzami.
S. P. Płoski: Organizowanie wojska przez insurekcję kościuszkowską.
K. Dunin-Wąsowicz: Polska młodzież akademicka a socjalizm.
J. N. Miller: Demokracja i socjalizm.
J. H.: Socjalizm, dzieło i sprawa człowieka.
L. Bukowiecki: Nieuchwytna sztuka.
Wł. Skowron: O uregulowanie osadnictwa wiejskiego na ziemiach odzyskanych.
J. Miara: Na marginesie budżetów domowych.
St.: Wydawnictwo Instytutu Zachodniego.
T. Głowacki: Program uprzemysłowienia wsi.
Z życia Partii, książki i czasopisma nadesłane.
Notatnik referenta.

52 strony zwiększonego formatu — cena Zł. 10.—

Żądajcie we wszystkich księgarniach i kioskach.

WANDA ŻÓŁKIEWSKA

Opuszczone dzieci i żony

Wśród wielu problemów, nagromadzonych w konsekwencji specyficznych warunków ostatniej wojny, jednym z poważniejszych — a delikatnym i trudnym — jest problem rodzin tych Polaków, którzy dotąd pozostają poza granicami wyzwolonego kraju. Takich zaś jest niemała ilość. Rozproszeni po całym świecie, jedni przymusowo, inni dobrowolnie, pozostają na obczyźnie.

W obozie w Saksonii sama przeżyłam przyjazd emisariusza, przeprowadzającego akcję zatrzymywania Polaków na ziemiach niemieckich, okupowanych bądź to przez Amerykanów, bądź to przez Anglików.

Rolę swą odegrał celująco pod względem aktorskim i celująco pod względem politycznym. Pierwsze — to zapewne dar przyrodzony, drugie zaś nie było zbyt trudne w naszym obozie. Kobiety są na ogół dość podatnym materiałem do zbiorowej psychozy, zwłaszcza kobiety wyniszczone głodem, pracą, przerażeniem i rozstrojem nerwowym spowodowanym bombardowaniami i walkami, które trwały przez cały okres wojny, a nasiliły się straszliwie przy jej końcu. To też wystraszony, obszarpany człowiek, oświadczający pierwszego wieczoru licznie zgromadzonym kobietom, że ucieka z piekła, szalejący z radości, że mu się udało z Polski uciec, człowiek który na drugi dzień — opanowany już i spokojny — prosi o stawianie pytań na temat stosunków moralnych i materialnych, warunków życia, kierunku polityki rządowej itd., człowiek ten wzbudza zaufanie i zostaje zasypany pytaniami. Odpowiada rzeczowo, inteligentnie, obszernie, przy czym od czasu do czasu zapada w zamyślenie, znamionujące ciężką rozterkę. Wtedy kobiety milkną i szepczą tylko jedna do drugiej:

— To ci go dopiero zmaltretowali!

Zmaltretowany jest dobrym aktorem, udaje, że nie słyszy, chwilę trzyma twarz ukrytą w dłoniach i znów opanowany wznawia pytania i odpowiedzi.

Po dwóch dniach stosowania tego systemu wiemy już nieodparcie, że wracającego do Polski czeka głód lub śmierć. Efekt odrazu widoczny: przygnębienie i zrezygnowane okrzyki:

— A no, to nie ma innej rady, trzeba tu zostać, przeczekać,

obok innych:

— Niech tam, co będzie to będzie, a do Polski trzeba wracać!

Dobrze pamiętam, jaką zarazę rozpylił ten bladolicy, wystraszony młodzieniec i ile spowodował nieszczęścia, dobrze pamiętam, ale jeszcze lepiej te Polki, które do dziś tkwią na Zachodzie bezsensownie i beznadziejnie.

Wieści z kraju nie przeciekają należycie, a jeżeli przeciekają, to właśnie tak, jak opisałam.

Bardzo charakterystyczne są listy przesyłane „okazjami" przez ludzi „z tamtej strony". Czytamy je jak dokumenty całkowitego obłędu. Niedawno miałam w ręku kilka takich listów. Jeden z nich pisany przez inżyniera. Zupełne kuriosum. Robi wrażenie listu, pisanego nie ręką inteligentnego dorosłego mężczyzny, ale przerażonego dziecka, żebrzącego o słowo prawdy i zmiłowania. List przesiąknięty zresztą nostalgią, nasycony po brzegi rozterką.

W drugim ojciec pisze do dziecka, którego jeszcze nie widział, słowa najżywszej miłości i tęsknoty, a jednocześnie rozpacza, że go już nigdy nie zobaczy, „bo mu nie wolno".

Listów tego typu płynie do kraju dużo.

Jest tyle złej woli ze strony sanacyjnych gór emigracji i ich zagranicznych protektorów, że prostowanie takich obłąkanych opinii staje się dla naszych przedstawicieli syzyfową pracą. Wprawdzie rezultaty tej pracy narastają powoli, jednak zbyt powoli, jak na sytuację opuszczonych rodzin.

Cierpią ci na obczyźnie, którzy nade wszystko pragną powrotu do kraju, ale cierpią i rodziny ich: żony i dzieci w Polsce.

Dla wszystkich nas skończyły się dziś dni okupacyjnej męki, rozpoczęło się normalne życie — dla tamtych los dotąd jest jednakowy, męka przedłuża się. Dzieci nie mają ojców, kobiety nie mają mężów, którzy mogliby dopomóc do podołania obowiązkom. W rodzinach tych dzieje się źle. Choroba, wycieńczenie, niedostatek, zniechęcenie do życia, rozgoryczenie — są stałymi towarzyszami ich twardego losu. Rodzi się poczucie upośledzenia i skłonność do izolacji. W społeczeństwie żywym, stale odradzającym się bardzo wyraźnie i szybko, rodziny opuszczone czują swą poniżającą inność. Narasta ferment społeczny — a kto właściwie ponosi zań winę?

Mam przed sobą list zrozpaczonej kobiety. Mąż jej jest w Szkocji i nie może wracać, skierowała przeto pismo do „Koła Posłanek" w Warszawie. Koło Posłanek" zaś przekazało list do redakcji „Kuźnicy". Cytuję jego wymowne wyjątki w brzmieniu autentycznym.

— „Udaję się do Was, Szanowne Obywatelki, — pisze autorka listu — w imieniu dziesiątek tysięcy matek, żon, sióstr i dzieci z gorącą prośbą o pomoc...

Obywatelki Posłanki! Chodzi o liczne tysiące nas w kraju, różnych zawodów, różnego pochodzenia, a więc sprawa ma silne podłoże społeczne. Pomóżcie dzieciom zobaczyć ich ojców, pomóżcie, aby dostały mleko, cukier, inaczej zrujnuje je gruźlica, bo matki się już kończą. Czekamy ich od roku już daremnie, a piszą między innymi: „Tęsknię za wami i krajem, radbym podążyć za Twoim apelem, radbym być wśród swoich najdroższych, nie jako przejściowy gość, ale po to, by pielęgnować swoją rodzinę i móc pracować dla niej...

Czujna jak żóraw — cytuje autorka słowa męża z Anglii — jest nasza cenzura wojskowa. Z kraju dochodzą tylko czysto osobiste wieści lub echa okupacji, z doby obecnej nic nie przenika.

...Pragniemy, aby ukazał się jakiś uroczysty manifest Rządu czy KRN, wyjaśniający ich obawy, rozpraszający ich troski i niepewności, że czekają ich wszyscy, że będą pewni i bezpieczni. Kto będzie poczuwał się do winy, przekreśli się sam, ale i tysiące powrócą, aby pełnić służbę dla Polski i zaopiekować się rodzinami.

...Niech wracają bez obawy i przyjmą swe obowiązki, dają Polsce z siebie co mogą, a nam pozwolą odpocząć po tyloletnim trudzie, głodzie i zimnie".

Oto wyjątki tego listu. Ta kobieta prosi i słusznie prosi o pomoc. Nie powinniśmy dopuszczać, aby marniały nam dzieci i kobiety tu w kraju, aby marnowali nam się dzielni, porządni ludzie, pragnący powrotu do ojczyzny. Autorka listu ma rację. Bo chociaż manifest taki został ogłoszony, choć rząd angielski zobowiązał się podać go do wiadomości Polaków za granicą — widocznie nie dotarł on do miejsca przeznaczenia, widocznie ludzie złej woli pokierowali nim tak, że nikt za granicą nie wie o niczym. Autentyczne dokumenty — listy z poza kraju — świadczą o tym niezawodnie. Listy rozpaczy, listy ostatecznych ludzkich klęsk mówią o tym nieustannie.

- Nie jest chyba słuszne ani politycznie zdrowe, aby dla osobistych nieuczciwych machinacji pewnej grupy emigranckiej, niezwiązanej już niczym z żywym, nowym organizmem kraju, dziczeli nam na obczyźnie ludzie, których potrzebujemy, na których obecności i pracy nam zależy. Niech wracają.

Trzeba przełamać zaporę, nasz głos musi, powinien do nich dotrzeć.

Rację ma również młoda dziewczyna z Częstochowy, córka rozstrzelanego przez Niemców oficera A. K., kierownika poczty podziemnej. Aresztowany z całą pocztą nie wydał ani jednego nazwiska mimo tortur codziennych. Był bardzo czystym, bezinteresownym, ofiarnym bojownikiem. Została po nim żona i sześcioro dzieci. Wszyscy oni obecnie giną z nędzy. Mieszkają w wilgotnej suterynie instytucji katolickiej i płacą ciężkie pieniądze za ciemny ponury kąt. Dzieci nie uczą się, bo nie mają książek, ubrania, ani sił poruszać się. Chorują na gruźlicę, ropne zapalenie stawów, na wszystkie choroby, wynikające z głodu i wilgoci. Najstarsza Zosia rzadko już podnosi się z łóżka. A przecież ma tysiące marzeń, które mi zwierza: będzie się jeszcze uczyć, skończy gimnazjum, dostanie pracę, pomoże młodszym dzieciom i matce.

— Ale proszę pani — mówi — kto nam pomoże, kto nam może pomóc?

Patrzę w oczy sześcioletniego Jurka, oczy tak niedziecinne, udręczone, dorośle stroskane, gdy paznokciami szoruje garnek, by z Charitasu przynieść zupę — i nie umiem im nic odpowiedzieć.

I coś tu jest nie w porządku, że dotąd nie znaleziono odpowiedzi. Odpowiedź musi się znaleźć.

Błędem jest, że ta rodzina porządnego, walczącego z hitleryzmem AK-owca nie jest wciągnięta tak w sieć społeczną, aby znalazła nie jednorazową, na filantropii oparta pomoc, ale stałą opiekę instytucji społecznych, rozwiązujących problemy życia polskiego, które wychodzi coraz wyraźniej z chaosu wojennego.

Skoro istnieją związki społeczne, mające także na celu wyławianie i opiekowanie się sierotami po żołnierzach AL i AK, to obowiązkiem ich jest tak usprawnić swoją aparaturę, abyśmy nie potrzebowali patrzeć z gorzkim wstydem na sieroty po wszystkich, którzy umierali, walcząc z Niemcami w przekonaniu, że Ojczyzna ich dzieci nie opuści, którzy myśleli o obowiązku żołnierskim, a nie o zabezpieczeniu losu swych rodzin. Ich dzieciom nie wolno kazać ponosić konsekwencji błędów politycznych reakcyjnych przywódców AK, którzy zostawili swoich ludzi zapomnianych, w rozsypce — sami tak jak wiedy w Zaleszczykach ratowali swoje „cenne głowy" za granicą.

Spodziewamy się, że czynniki zainteresowane skierują sprawę na właściwe tory.

„Notatnik Polowy"*)

W swoim czasie Asiejew, jeden z najzdolniejszych uczniów Majakowskiego, wierszom pewnego typu proponował nadać nazwę felietonów lirycznych. Ogólnie biorąc miały to być wiersze, oparte na realiach na aktualnej społeczno - politycznej tematyce, w których zastosowane byłyby wszelkie chwyty wiersza lirycznego. Oczywiście owe „felietony liryczne" nie były wynalazkiem futurystów rosyjskich ani tym bardziej Asiejewa, rodowód ich jest znacznie starszy — poetą, który w sposób mistrzowski stosował ten genre był Heine i bodaj właśnie o nim, a nie o Rosjanach należałoby wspomnieć, mówiąc o wierszach Leca. Jest to w zastosowaniu do wierszy zawartych w „Notatniku polowym" Leca definicja robocza, której przyjęcie ułatwi nam dalsze rozważania.

Już tytuł ostatniego tomiku Leca sugeruje nam, że wiersze te były pisane na gorąco, bezpośrednio, w czasie walk partyzanckich, że tak powstały te liryki — jako „Kartki z raptularza wojennego" — świadczą również daty, którymi autor zaopatrzył poszczególne utwory. Nie dajmy się jednak uwieść wymowie faktów rzeczywistych — „Notatnik polowy" to książka o dobrze przemyślanej konstrukcji, to bynajmniej nie zbiór impresyj lirycznych na tematy partyzanckie. Jest to zresztą wynikiem postawy poety, u którego refleksja, wytwarzając dystans, wyraźnie hamuje tok liryczny. Daje się tu zauważyć ścieranie się 2-ch elementów. Z jednej strony mamy w wierszach Leca do czynienia z nurtem lirycznym, z tą bezpośredniością odczuwania i poetyckiego widzenia świata, która w ogóle warunkuje wiersz. Bezpośredniość ta jednak poddana jest surowej kontroli, stąd liryczne pointy wierszy, emocjonalnie pełne przerzuty pomiędzy partiami opisowymi. Jest to tkanka łączna wierszy Leca, których kościec z innego ukształtowany jest materiału. Kośćcem ich jest poezja faktu, poezja realności. Nie faktografia, broń Boże, i nie opisywactwo, choć w bezpośrednim oznaczeniu realiów dopuszcza się często Lec nawet prozaizmów. Postawę tę można by określić, jako podejście racjonalisty, dążącego stale do ukonkretyzowania rzeczywistości, do uchwycenia jej na gorącym uczynku „stawania się". Dla tego celu Lec nie cofa się przed wprowadzeniem do swych wierszy elementów antylirycznych, częściowo epickich — dokładnego wyliczania rekwizytów, ścisłego umiejscawiania „akcji", tonów gawędy, jak np. we „Wspomnieniu". To jest właśnie ten drugi nurt, niwelujący bezpośredniość wyrazu lirycznego. Wywodzi się on bodajże z postawy satyryka, gdzie zasadniczym założeniem jest dystans pomiędzy twórcą a przedmiotem satyry, ścisłość wyrazu, trafność i konkretność.

I dlatego zapewne Lecowi tak trudno jest zdobyć się na emocjonalny, bezpośredni wyraz. Lec nie zdobędzie się na truizm, okrzyku, nie oprze się pokusie stylizacji tego okrzyku. Dlatego też, gdy mówi w wierszu n. p. „Legenda".

Ja, który wierzę jeszcze w bogów greckich
i rzymskich,
który nocą składam ofiary Apollinowi,
który wierzę w realność odległych
lirycznych metafor,
ja uwierzyć nie mogę w tę śmiertelną
legendę,
w prawdę tak dotykalną
jak lepką krew,

wierzymy mu, jest bezwzględnie szczery, choć wiemy dobrze, iż zdaje sobie sprawę, że tamte prawdy, o których realności mówi, prawdy lirycznych metafor, w tym ujęciu są prawdami papierowymi. Gdyż dystans satyryka niepostrzegalnie przeradza się w dystans stylizatora, a wzruszenie liryka jest często wzruszeniem wtórnym, refleksyjnym. Właśnie poczucie dystansu sprawia, iż w „leśnych" wierszach Leca, choć odczuwamy w nich zespolenie już nie tylko z krajobrazem, lecz z ziemią „po ludzku pojętą", w wierszach o silnym akcencie humanistycznym, widzimy jednocześnie liryczną postawę inteligenta. Fakt, że Lec odczuwa dystans w stosunku do świata „matuli na Bójkach" nie razi nas ani trochę, ale przez to, przez stylizację językową — rozumiemy ten jeden z najbardziej charakterystycznych w „Notatniku polowym" wiersz, jako pomimowolne

Stanisław Jerzy Lec

zapewne zaznaczenie różnic klasowych pomiędzy poetą a światem „matuli".

Tam, gdzie Lec widzi rzeczywiście poprzez literackie skojarzenie, ton jego nie jest dostatecznie przekonywujący. Natomiast w wierszach noszących pewne cechy publicystyki, konieczność mówienia we własnym imieniu nakazuje mu uderzyć w tony szczersze.

Przy tym wszystkie te wewnętrzne ścierania się różnorakich elementów w wierszach Leca nie sprawiają wrażenia dysonansu. Równowaga pomiędzy nimi zachowywana jest stale — i to jest ważnym pozytywnym czynnikiem tej poezji. Do utrzymania równowagi przyczynia się w dużym stopniu budowa formalna tych wierszy. Lec, w przeciwieństwie do wielu poetów, którzy oparli się na doświadczeniach skamandrytów, unika raczej wiersza sylabotonicznego. Wiersz sylabotoniczny, szeroko stosowany przez poetów „Skamandra", przejęty został przez nich przede wszystkim od symbolistów rosyjskich. Melodyka układów sylabotonicznych, narzucająca swoiste zabarwienie emocjonalne, nie mogła odpowiadać „felietonom lirycznym". Ponieważ Lec odbiega jednak od tego genre'u, jaki pod nazwą „felietonu lirycznego" uprawiali futuryści rosyjscy, nie znajdzie się w jego wierszach miejsca na tę wyrazistość intonacyjną, do której tak wielką wagę przywiązywali. Nawiązywanie do publicystycznych wierszy Heinego znalazło i tu w układach formalnych wierszy Leca swój odpowiednik. Oczywiście nie całkowicie, gdyż obok metrów tonicznych znajdujemy tu liczne wiersze sylabiczne, z innych wywodzące się źródeł.

Jeszcze na jedno trzeba zwrócić uwagę. Ów dystans psychiczny, o którym była mowa, znajduje swój wyraz nie tylko w treści wierszy i w deformacjach stylistycznych, lecz nawet w wymyślnych aliteracjach i układach rymowych. We wspomnianym już wierszu „U matuli na Bójkach" znajdujemy rzadko stosowane wiązania rymów męskich z żeńskimi, jak np. wpadł — zsiadłym, żrąc — gorące.

Niemniej ogólna atmosfera wierszy, zawartych w „Notatniku Polowym" świadczy o prawdziwości przeżyć. Poezja ta jest ściśle umiejscowiona historycznie, a przytem pod względem socjalnym — jednoznaczna. W tym wypadku, gdy chodzi o postawę społeczną, Lec nie używa zbędnej publicystycznej frazeologii, nie deklinuje słów postęp, demokracja czy socjalizm, gdyż pojęcia te leżą u podstaw jego twórczości.

Seweryn Pollak

*) Stanisław Jerzy Lec „Notatnik polowy". 1946 r. Spółdz. Wyd. „Książka".

CENTRALA SPRZEDAŻY
Państwowego Przemysłu Środków Kawowych
i Namiastek Spożywczych
w Warszawie, Aleje Jerozolimskie 95 m. 11 telefon 87-096

Uruchomiła następujące oddziały sprzedaży:

Wrocław — ul. Jana 34 (Patria)
Warszawa — Al. Jerozolimskie 53
Bydgoszcz — Królowej Jadwigi 14
Częstochowa — Piotrkowska 29
Gdańsk — Sopot, Pl. Wolności 4
Gliwice — Bałtycka 1
Inowrocław — Św. Ducha 27
Katowice — Młyńska 20 f-ma Globus
Kielce — ul. Sienkiewicza 67
Kraków — ul. Zacisze 8
Lublin — ul. Zamojska 3
Łódź — ul. Andrzeja 6
Poznań — ul. Piaskowa 2
Rzeszów — ul. Kościuszki 17
Skawina — Fabryka Francka
Sosnowiec — 3 Maja 29
Tarnów — Narutowicza 4-a
Szczecin — Pocztowa 2
Włocławek — Fabryka Bohma, ul. Toruńska 2-b

w których odbywa się sprzedaż wyrobów fabryk podległych Państwowemu Zjednoczeniu Przemysłu Środków Kawowych i Namiastek Spożywczych w Warszawie

W organizacji są oddziały: Białystok, Olsztyn

Przegląd prasy

Zamieszczony przed kilku tygodniami w piśmie naszym artykuł Chałasińskiego o inteligencji nie wywołał niestety zbyt ożywionej dyskusji. W tygodnikach literacko - społecznych, zwłaszcza w tygodnikach katolickich nie znaleźliśmy dotąd ani jednego artykułu, któryby formułował jakiś pogląd na tę tak ważną dla nas sprawę. Zapewne historia inteligencji, jej zadania i rola jaką ta warstwa ma do odegrania w obecnie kształtującym się układzie społecznym interesuje publicystów katolickich nie mniej niż marksistów. Nie sądzimy, by poglądy katolików na sprawę inteligencji pokrywały się z poglądami wypowiadanymi przez publicystów nie-katolickich.

Dlatego z zainteresowaniem przeczytaliśmy w Nr 15 „Tygodnika Powszechnego" artykuł Stefana Kieniewicza „Rodowód inteligencji polskiej". Kieniewicz, zastrzegając się w komentarzu, że artykuł swój złożył w Redakcji „Tygodnika Powszechnego" jeszcze przed ukazaniem się artykułu K. W. Zawodzińskiego „W sprawie genealogii inteligencji polskiej" („Kuźnica", 12/13) daje nam w swoim artykule obszerny i umotywowany zarys historii inteligencji polskiej.

Kieniewicz podciąga pod miano inteligencji, zgodnie ze swoją początkową definicją („Pod inteligencją rozumieć chcę w niniejszym artykule warstwę społeczną utrzymującą się przeważnie własną pracą umysłową") funkcjonariuszy służby publicznej, pracowników technicznych, wolne zawody. Mówiąc o okresie przed pięćdziesiątymi latami zeszłego stulecia, Kieniewicz niesłusznie naszym zdaniem zalicza warstwę oświeconą owych czasów do inteligencji. Wydaje się nam nawet, że ostrożne określenie przedstawicieli warstwy oświeconej końca XVIII wieku jako „inteligentów avant la lettre" jest niesłuszne i wprowadza pewien zamęt do pojęcia „inteligencja". Nawet gdyby autor chciał być tylko wierny swojej własnej początkowej definicji, to o inteligencji przed połową wieku XIX trudno w Polsce mówić.

Inteligencja jako warstwa oddzielna powstaje dopiero wtedy, gdy interesy jej przestają pokrywać się z interesami tych klas, z których pochodzą jej przedstawiciele. Ten konflikt łagodzony w Polsce tym, że inteligencja przeważnie była jednak pochodzenia szlacheckiego, wyraźnie zaznacza odrębność inteligencji jako warstwy. Wydaje się nam, że uwidocznienie tych sprzeczności i dokładniejsze określenie czasu narodzin nowej warstwy społecznej byłoby ciekawsze niż bardzo sumienne sprawozdanie historyczne w ramach konwencjonalnego podręcznika dziejów Polski.

Artykuł Kieniewicza jest dość bezstronny jeśli idzie o ocenę inteligencji wieku XIX. Trudno natomiast zgodzić się ze zdaniami dotyczącymi okresu późniejszego. Dość nietrafnie naprzykład wydaje się nam imperatywne zdanie o tym, że inteligencja początków XX wieku nie przejęła „ideologii szlachty polskiej". Sądzimy, że cała tragedia inteligencji polskiej polega właśnie na uleganiu ideologii szlacheckiej. Przykład Żeromskiego, na którego powołuje się autor artykułu jako na budowniczego zasad inteligencji współczesnej wydaje się dość nietrafny. Wystarczy przeczytać bowiem uważnie tego wielkiego pisarza, by przekonać się, że nawet on tej szlacheckiej ideologi nie potrafił zwalczyć.

Tak więc wydaje się nam, że artykuł Kienie wicza nie uwydatniając punktu zwrotnego dla inteligencji polskiej: końca wieku XIX i zależności inteligencji od zmieniających się wówczas warunków, nie wnosi nic istotnego.

Pisarze polscy, którzy powrócili niedawno z dłuższej podróży do Francji, sumiennie relacjonują swoje wrażenia z nawiązanych po wojnie kontaktów intelektualnych. W „Dziś i Jutro" (nr 15) Jarosław Iwaszkiewicz opisuje swoje spotkanie z Mauriac'iem. Relacja rozmowy dotyczy wyłącznie spraw literatury i teatru.

Obszerniej natomiast informuje nas w nr. 15 „Odrodzenia" Tadeusz Breza w artykule „Francuskie spotkania". Unikając ścisłego określania nazwisk swoich rozmówców, Breza stara się wyciągnąć z francuskich spotkań ma ksymalną ilość wiadomości o stanie intelektualnym dzisiejszej powojennej Francji, a co ważniejsza nie oddziela, wierny zresztą intencjom swoich francuskich interlokutorów-intelektualistów, życia umysłowego od polityki.

Dwie rozmowy: z neokatolikiem i młodym komunistycznym dziennikarzem świadczą w relacji Brezy o tym, że dzisiejsza Francja intelektualna daleka jest od kwietyzmu. „Doprawdy — mówi jeden z rozmówców Brezy — ludzie dzielą się tylko na dwa gatunki, na tych którzy wierzą, że z świata jeszcze coś będzie, i tych, którzy nie wierzą. Ta klamra wiary spina naszą partię w jedno ze wszystkimi o których tu mówię" (mowa była o wybitnych pisarzach katolickich: Mauriac'u, Bernanosie).

Wreszcie Breza zaznajamia nas z nowym, panującym obecnie na ruinach dawnych metafizycznych prądów, egzystencjalizmem Sartre'a. Rozmowa Brezy z młodym zwolennikiem Sartre'a i rozmowa następna na ten temat przeprowadzona z wybitnym publicystą komunistycznym oświetlają dość wyraźnie nowy paryski kostium intelektualny i jego krój. „Odrodzenie" w ostatnich swoich numerach sporo miejsca poświęca popularyzacji nauki, zarówno w jej humanistycznych jak i przyrodniczych dziedzinach. W nr. 15 mamy artykuł Adama Schaffa „Nauki przyrodnicze i marksizm", dotyczący związków między naukami pozytywnymi i filozofią — podkreślający znaczenie materializmu dialektycznego dla badań przyrodniczych.

W tym samym numerze Arkadiusz Piekara pisze „O nowym pojmowaniu zjawisk" wykładając popularnie zagadnienia promieniotwórcze. Pozostawiając specjalistom dokładniejsze omówienie tego interesującego artykułu, pragniemy podkreślić jego literackie zalety, które w artykułach tego typu nie są częste.

W podwójnym (16-17) numerze „Odrodzenia mamy bogaty materiał literacki i publicystyczny. O polityce amerykańskiej w związku z pracami wybitnego publicysty politycznego Waltera Lippmana piszą: Józef Sieradzki („Rozmyślania o pokoju") i Jan Alfred Szczepański („Od Teodora do Franklina Roosevelta"). O „Kłopotach błyskawicznej wojny" pisze Mieczysław Pruszyński. „O organizacji nauki w Związku Radzieckim" — Ludwik Sawicki. Są to zapewne najbardziej interesujące pozycje tego numeru. Na specjalną jednak uwagę zasługuje essay Juliana Przybosia „Wiersz-płacz", poświęcony analizie mickiewiczowskiego wiersza „Polały się łzy me..."

Przyboś analizuje ten wiersz, przypominając czas i miejsce powstania jednego z ostatnich utworów Adama Mickiewicza. Nas jednak najbardziej zainteresuje chyba formalna analiza dokonana przez Przybosia.

Autor essayu omawia przede wszystkim określenia przymiotnikowe użyte przez Mickiewicza, twierdząc z całą słusznością, że Mickiewicz „oczyszczał określenie epitetowe od jego przygodnej doraźności, poszerzał je intencjonalnie po wszystkie związane z nim możliwości znaczeniowe".

Najbardziej znamienne w artykule Przybosia jest to, co mówi on o rymach w związku z analizą wiersza Mickiewicza. Te kilka zdań pozwalamy sobie tutaj przytoczyć: „W każdym języku spotykamy zespoły słów, które przylegają dźwiękowo do siebie i dzięki przypadkowi spokrewnione są ze sobą treścią pojęciową. Przykład: raj-maj, wiosna-radosna... Słowa te jakby się uzupełniały wzajemnie, dźwięk potwierdza ich pokrewieństwo pojęciowe — dają rymy nie tylko dźwiękowe, ale i pojęciowe... Nieznośne z powodu dźwiękowego natręctwa — ukazują jednak pewną prawdę sztuki rymotwórczej, którą mistrzowie wiersza umieją uczynić niebanalną".

Te uwagi Juliana Przybosia o znaczeniu rymu posiadają oprócz wartości obiektywnej niewątpliwe znaczenie pedagogiczne, zwłaszcza w odniesieniu do młodej generacji poetyckiej, która zatraciła całkowicie kulturę rymu, stosując go albo nieudolnie w postaci rymoidu, albo też potępiając w czambuł wszelki rym.

ph.

W świecie polszczyzny

W numerze 15-ym „Tygodnika Warszawskiego" p. W. J. G. ogłosił rewelacyjną krytykę wznowionej przez „Czytelnika" „Lutni Puszkina". Surowy recenzent, patrzący przez palce, kiedy jego własne pismo bywa przytułkiem dla kwieciście - modlitewnej wierszomanii, tym razem pokazał lwi pazur i jednym pociągnięciem pióra odmówił talentu Tuwimowi.

Nie jest moim zadaniem obrona poety. Walory i wady Tuwima, jako tłumacza nie są dla nikogo nowością. Powracał zresztą do tej sprawy Ważyk, zalecając unikanie rymów męskich w przekładach z rosyjskiego. Ale zastanawia płytki i niesympatyczny „rewizjonizm" pisma, które w sprawach bardziej zasadniczych zdradza raczej skłonności do brązownictwa.

Pan W. J. G. dla poparcia swych zgryźliwych uwag przeciwstawia tuwimowskiemu przekładowi wiersza „Prorok" tłumaczenie St. Miłaszewskiego, przeplatając je przyciętym dla wygody oryginalnym tekstem.

Nie chciałbym umniejszać zasług St. Miłaszewskiego, ani też babrać się w drobiazgowej analizie formalnej. Warto jednak, aby nie być gołosłownym te cytaty przytoczyć.

Przykład pierwszy:

Puszkin:

Duszewnoj żażdoju tomim
W pustynie mracznoj ja właczilsia
I szestikryłyj serafim
Na pereputi mnie jawiłsia.

Tuwim:

Pragnieniem ducha i tęsknotą
Dręczyłem się w pustyni srogiej,
I sześcioskrzydły seraf oto
Ukazał mi się pośród drogi..

Miłaszewski:

Zgłodniały w duchu, do utraty
Ducha — poszedłem w puszczę ciemną.
Serafin po sześćkroć skrzydlaty
Wtenczas pojawił się przedemną.

Pan W. J. G. dodaje, że „pragnienie ducha i tęsknota" — to ani proste, ani wzniosłe, ani poetyckie. Poetyckie jest zato i wzniosłe „Zgłodniały w duchu do utraty ducha" (!). I bardziej zbliżone do oryginału.

Przykład drugi:

Puszkin:

Pierstami legkimi kak son
Moich oczjej kosnułsia on.
Otwierzliś wieszczije zienicy
Kak u ispugannoj orlicy.
Moich uszjiej kosnułsia on
I ich napołnił ich szum i zwon.
I wniał ja nieba pronicanie
I gordych angiełow proliot,
I gad morskich podwodnij chod
I dolnoj łozy proziabanie.

Tuwim:

Palcami lekko jako snem
Musnął źrenice me — i wtem
Przejrzały wieszczo chwili onej
Jak u orlicy przelęknionej.
A potem uszu moich tknął
I gwar i dźwięk w nich szumieć jął.
I zrozumiałem nieba gromy,
I lot aniołów przez wyżyny,
I w głębi morskiej chód gadziny,
I ziół padolnych wzrost widomy.

Miłaszewski:

Lekko — lżej niż widziadło we śnie
Mych oczu dotknął bezcieleśnie.
Bystre się wtedy stały one
Jako orlicy wzrok spłoszonej.
Dzwonnym odgłosem moje uszy
Napełnił, gdy je palcem ruszył.
Odtąd, jak światło z nieba spływa
Słyszę, i słyszę duchów przelot,
Słyszę ryb mowę pod topielą,
Słyszę, jak łozę szron okrywa.

Komentarz nie mniej humorystyczny. Na Tuwimie nie pozostawia suchej nitki, zato Miłaszewski, zwłaszcza od słów „odtąd, jak światło..." — to arcydzieło przekładu, a „jaka wierność („łozę szron okrywa")".

Dajmy pokój. Laik łatwo się tutaj dopatrzy, który przekład — przy wszystkich usterkach — Puszkina oddaje bez fałszu, a który jest grubo i niezbyt odpowiedzialnie podwatowany bełkotem. (Nawiasem mówiąc, „proziabanie' znaczy „wegetacja", a nie „ziębnięcie", — szron więc okrywa łozę na skutek niedostatecznego opanowania języka rosyjskiego. Co za „wierność", nieprawdaż?).

Przykład trzeci:

Tu panu W. J. G. było wygodniej nie cytować oryginału, my go jednak przytoczymy.

Puszkin:

I on k ustam moim prynik,
I wyrwał griesznyj moj jazyk,
I prazdnosłownyj i łukawyj,
I żało mudryjo zmiei
W usta zamierszyje moi
Włożył diesniceju krowawoj.

Tuwim:

I usta do ust przywarł mych,
I grzeszny język wyrwał z nich,
I wielomówny i zdradliwy.
W usta zamarłe i bez sił (sic!—J.W.G.)
Przemądrej żmii żądło wbił
Wolą prawicy swej straszliwej.

Miłaszewski:

Ust sięgnął chwytem rąk anielich,
I wyszarpnąwszy z mej gardzieli
Język skażony mową podłą,
Mądrość wężową dał i żądło. (??—KG)

Komentarz, jak wyżej. U Tuwima nieopanowanie słowa poetyckiego, u Miłaszewskiego...

Niesmaczna zabawa, co? Ale oto wyłazi szydło z worka. U Miłaszewskiego „jesteśmy w świecie prawdziwej polszczyzny". Tu cię boli! Za dawnych dobrych czasów można było otwarciej. Że zażydzanie, że zaśmiecanie... Dziś niestety musi się stosować metodę podjazdową. Wiedy pochodzenie, dziś brak talentu. Jak wiadomo, pradziad Puszkina był Negrem. Puszkin jest kiepski, Tuwim do niczego. Obaj zaśmiecają świat prawdziwej polszczyzny, świat kadzidlany i wzniosły, ot choćby: „chwytem rąk anielich", „Słowem, jak żagwią wzniecaj ducha", „zgłodniały duchem do utraty ducha" itp.

Krzysztof Gruszczyński

Korespondencja

ZABÓJSTWO NAUCZYCIELA

Do Redaktora „Kuźnicy".

W nocy na 5 kwietnia o godzinie 3.30 rano zamordowano w Radomsku dyr. II gimnazjum Andrzeja Chodurę. Piszę te słowa 6 kwietnia o godzinie pół do piątej rano, a więc 25 godzin po morderstwie. Nie mogłam wytrwać dłużej w tej straszliwej rozterce, buncie, goryczy i męce, jaką przeżywam od chwili, kiedy się dowiedziałam o tym podłym zabójstwie. Proszę gorąco o wydrukowanie mego listu, gdyż jest on protestem setek młodzieży z Jego gimnazjum, oraz nas, ich rodziców a także i wielu chłopów, tych biedniejszych. Wszyscy są wstrząśnięci tym morderstwem, które pozbawiło nas najtroskliwszego opiekuna naszej młodzieży. Widzę Go ciągle, gdy przemawia na konferencji rodzicielskiej, zwracając się do nas, siedzących jeszcze na krzesłach, które dzieci nasze przyniosły tutaj z domu. Sala szkolna wygląda tutaj beznadziejnie. Ściany są brudne, popękane, tynk poopadany, drzwi połupane, okna bez szyb, sufity wręcz dziurawe... Takie dziedzictwo otrzymał dyr. Chodura po powrocie z niemieckich obozów kaźni. Na tej pierwszej konferencji uchwaliliśmy opłatę miesięczną. Zrozumienie było duże. Byli ojcowie, którzy pomagali w stolarstwie, murarstwie i innych robotach. Dyr. Chodura postawił szkołę na wysokim poziomie, pomimo, że wielu niezamożnych zwolnionych jest od opłaty zupełnie, bardzo wielu płaci tylko połowę lub część, a zdarza się, że sierotom jak Kondraninówna z drugiej klasy, która otrzymała od Niego ostatnie 1500 zł na zakup najpilniejszych rzeczy, oraz innym potrzebującym pomocy dopomagał w miarę sił i możności.

Pamiętam Jego słowa: „Jeżeli kto nie może płacić, proszę składać podanie, gdyż nie wolno nikogo pozbawiać nauki. Inteligencji brak. Musimy ją stworzyć z dzieci robotników i chłopów. Musimy jej stworzyć dużo, bardzo dużo... I nieprawdą jest, że dzieci chłopskie i robotnicze są niezdolne i leniwe..."

I dlatego zabito go!... Tylko dlatego!!! Twierdzę to z całą odpowiedzialnością i zrozumieniem tym większym, że moi ubodzy lecz pobożni rodzice kupowali do czytania jedynie „Przewodnik Katolicki", „Niedzielę" częstochowską a czasem „Gazetę świąteczną". Wychowywały mnie pisma katolickie i twierdzę teraz, że nie było w tym Człowieku nic, co by się sprzeciwiało etyce katolickiej i chrześcijańskiej.

Polscy hitlerowcy zabili go! Nie mogę, w żaden sposób nie mogę pojąć tego faktu, ani tej krzywdy, jaką wyrządzono już nie temu Człowiekowi, lecz nam, którzy z radością patrzyliśmy na tak serdeczne zajęcie się naszymi dziećmi, które w dawnych dobrych czasach, tak jak my pozbawione byłyby dostępu do nauki. Ja to tak dobrze rozumiem, gdyż odmówiono mi tej nauki, której gorącej łaknęłam niż chleba. Z jaką radością posyłam codziennie do „gimnazjum" moje dziecko! Do gimnazjum które było dla mnie tak bardzo niedostępne! Z jaką radością płacę 200 złotych, chociaż jakże trudno mi je nieraz zebrać, lecz nie pisałam podania o zniżkę, gdyż tak dużo jeszcze naszej szkole brakuje. Jeszcze kilka tygodni temu Zamordowany tłumaczył, że może to już ostatni rok opłat, jeszcze tylko tyle i tyle ławek brakuje, jeszcze tylko to i owo, ale to już niedługo uzupełnimy.

Całonocne usiłowanie zrozumienia tej zbrodni i wykrzyczenia jej światu zrodziło we mnie nagle i zupełnie nieoczekiwanie nowe zagadnienie: kto mi wydrukuje mój gorący protest? Czytam przecież „Tygodnik Powszechny", „Tygodnik Warszawski", częstochowską „Niedzielę" i „Gazetę Ludową" i zrozumiałam właśnie tej nocy, że „tam" nie mogę posłać... Ta świadomość popchnęła me myśli na całkiem nowe tory i przeraziła mnie... Było to oślepiające jak błyskawica ale tak silne, że oświetliło coś innego. Nagłe przypomnienie „Gazetki Wolność", którą wydało NSZ a która wpadła mi do ręki z tej racji że u mnie na stole leży „Tygodnik Warszawski", „Tygodnik Powszechny", „Niedziela" i 2 grube roczniki „Przewodnika Katolickiego" jeszcze sprzed wojny. I ta nagła świadomość, że to właśnie obudziło do mnie zaufanie osoby, która mnie nie znała i której ja nie znałam...

I przyznaję, że jest mi w tej chwili to wstrętne, pełne obłudy czy czegoś niskiego... szczególniej, że w tym numerze „pisało", ażeby czytać właśnie „Gazetę Ludową" która przecież dla zbrodni NSZ znajduje wytłumaczenie i zrozumienie, które wkońcu zamienia się w przyzwolenie. Przypomniałam sobie, że „Tygodnik Warszawski" pisał, iż aprobuje Polskie Stronnictwo Ludowe (które wydaje „Gazetę Ludową"), ponieważ to stronnictwo wyraźnie stoi na gruncie katolickim... W swym strapieniu poznałam, że o moim proteście, że o proteście setek robotników i chłopów nikt nie będzie wiedział. Nikt nie będzie wiedział o przekleństwach wielu ojców i żalu setek młodzieży, która tego dnia właśnie przystąpiła do spowiedzi wielkanocnej i odbyła ją w gniewie, buncie i goryczy.

Zrozumiałam z rozpaczą, że skończyła się droga, po której dotąd kroczyłam, że trzeba szukać innej... W popłochu i panice pomyślałam o „Kuźnicy" którą przypadkowo zupełnie miałam 3 — 4 razy w ręce i której artykuły dziwnie mnie pociągały, choć ogólne przeświadczenie, że czytują ją „lewicowcy" nie zachęcało do kupowania.

Panie Redaktorze, proszę ten list wydrukować! Jest on bezładny, bo pisany drżącą ręką, w wielkim gniewie i wzburzeniu. Łzy ciągle przesłaniają mi pismo, a w sercu wre bunt przeciwko zabójcom i przeciwko tym, którzy tę śmierć pochwalają i aprobują, którzy mówią, że przecież dyr. Chodura należał do PPR!

Zbrodnicza ręka roztrzaskała Mu mózg, a głowę wepchnęła twarzą w błoto. Mściwy obcas hitlerowca polskiego odbił znak na czaszce, brudne od krwi ręce zdarły ubranie, aby upozorować grabież, a ciało odnażyły na pastwę ludzi i dzieci, lecz to barbarzyjstwo, to zbezczeszczenie ciała Człowieka dowodzi tylko nieskończonej podłości zabójców, oraz beznadziejnej ciemnoty ich środowiska i ich opiekunów.

A przede wszystkim nieprzejednanej wrogości do szarego człowieka, któremu zaofiarowano naukę, opiekę i w przyszłości ludzkie jasne bytowanie.

Wszyscy stronnicy Polskiego Stronnictwa Ludowego twierdzą, że „to porachunki osobiste", a dzieciom wmawia się judaszowsko „dla was był dobry ale dla innych niedobry".

Nie, dla innych nie był niedobry! Chodzi o to, że dla proletariatu był dobry, a jak widzimy jest to niedozwolone.

Matka uczenicy.

6.IV.46 r.

SPROSTOWANIE

W związku z notatką w Nr 14 „Kuźnicy" p. t. „Kto ukradł" otrzymaliśmy wyjaśnienie Głównego Urzędu Kontroli Prasy, Publikacyj i Widowisk, że „akta sprawy Waryńskiego zostały Ministrowi Świątkowskiemu przekazane jako zwierzchnikowi resortu sprawiedliwości a nie „ofiarowane jako prywatnej osobie".

Z wyjaśnienia tego wynika, że wzmianka w „Rzeczypospolitej", do której nawiązał autor naszej noty wprowadzała w błąd.

W związku z tym najszczerzej przepraszamy naszych kierowników Ministerstwa Sprawiedliwości za tak niezasłużoną przykrość jaką było publiczne poruszenie tej sprawy w nieprawdziwym oświetleniu.

Redakcja

Czytamy listy

Na temat pamfletu „o młodszym bracie" *)

List taki czy inny – to na szczęście jeszcze nie ostateczna opinia, przesądzająca o wszystkim i zamykająca sprawę. Sprawa naszej młodzieży nie może być zamknięta jakąkolwiek subiektywną uwagą. Ale te uwagi jednak, te listy, oparte na własnych odczuwaniach i spostrzeżeniach na pewno rzetelnych, oświetlają z tak wielu stron zagadnienie, że stają się materiałem ciekawym i dopełniającym, materiałem, który dopomoże w precyzowaniu dalszych wniosków. Dlatego właśnie postaramy się wszystkie listy, jakie w tej sprawie wpłynęły, kolejno ogłaszać. I wnioski będziemy opracowywać może jeszcze niejednokrotnie.. Bo nie można się zbyt łatwo rozstać z zagadnieniem naszej dzisiejszej młodzieży, a jutrzejszych gospodarzy Kraju. Tym zagadnieniem trzeba wstrząsnąć.

Maria Czarnecka: „Jestem poznanianką, w czasie wojny byłam wysiedloną do GG, przeszłam powstanie, tak że znam różne środowiska, nie tylko pod względem społecznym, ale również dzielnicowym. Nie należę do kadr, które wyszły z pracy konspiracyjnej, chociaż korzystałam z przywileju tajnego nauczania, a w dodatku na pochodzeniu moim ciąży „plama" byłej obszarniczki.

Obecnie studiuję rolnictwo na UP, a bywam często na wsi w Wlkp., gdzie jako „handlująca" mam dużą styczność z robotnikami folwarcznymi.

Przyznaję, że tezy Pana są w wielu, nawet w przeważającej większości wypadków słuszne. Będę starała się przelać tylko parę własnych obserwacyj i wniosków na te same tematy.

Przede wszystkim skład młodzieży studiującej (zastrzegam się, że mówię tu tylko o składzie obserwowanego przeze mnie wydz. rolnego): Faktem jest, że młodzieży pochodzenia chłopskiego nie widać. Są synowie robotników fabrycznych, woźnych, urzędników państwowych, kupców, urzędników gospodarczych – synów włościańskich na wydziale rolnym nie ma. Narzuca się pytanie: dlaczego? Trzeba zaznaczyć, że UP dla nowowstępujących robiło wszelkie udogodnienia, włącznie uznania matur zawodowych gimnazjów rolnych. Wina leży tu raczej po stronie społeczeństwa, które nie tylko nie ułatwia studiów, to można darować, ale odmawia, a nieraz wprost siłą od nich odciąga. Jest rzeczą dla mnie niezrozumiałą, że w chwili gdy rzeczywiście odczuwa się brak fachowców tak często spotyka się z krytyką decyzji studiowania.

Najczęstszym argumentem jest teoria, że paromiesięczny kurs da mi możność takiej samej posady, jak 4-ro letnia nauka na UP. Tu może leży przyczyna, dla której na uniwersytetach naszych spotykamy tak mało młodzieży chłopskiej czy robotniczej. Młodzież ta często nie zdaje sobie sprawy z tego, że wiedza nie jest tylko środkiem do uzyskania takiej czy innej posady. Faktem jest, że wiedza się „nie opłaca". Dlatego też, aby nie ulec pokusie wysokich stanowisk, tak łatwo osiągalnych dla każdego, kto ma trochę chociaż inteligencji i dostatecznie aktywne usposobienie, lub aby nie korzystać z możliwości szabru, trzeba mieć pewność, że wiedza daje wartości, których się na pieniądz przeliczyć nie da. A właśnie szkoły nasze nie tylko że nie dają tej pewności, ale nawet nie zawsze potrafią dać obraz choćby przybliżony tego, czym jest wiedza.

Pierwszy typ studentów to ci, którzy **przyszli poznawać**. Na ogół jest to typ naukowca, prawie zawsze bardzo świadomego swych zamierzeń. Czasem typ fachowca, który nie chce być maszyną do hodowania krów, czy zarządu majątkiem, a świadomym kierownikiem powierzonych sobie istot, zarówno zwierząt jak ludzi. Rzadziej typ idealisty – mieszczanina, którego uwiódł czar wsi. Najczęściej musi on walczyć z pustą kieszenią, zimnym mieszkaniem i zbyt skromnymi jak na zapotrzebowanie porcjami obiadowymi u Bratniaka. Nie zraża go to jednak. I znajduje czas obok zarobkowania i nauki na pracę w kole samokształceniowym, na ogłaszanie referatów czy przygotowywanie skryptów. Krańcowo różnym od niego jest drugi zaobserwowany przeze mnie typ. Możnaby go określić do pewnego stopnia mianem „snoba". Są to na ogół studenci zamożniejsi (nie mówię bynajmniej że wszyscy zamożni studenci), którzy naukę traktują jako przyjemne spędzanie czasu, chroniące od wojska, a pozwalające na pytanie „co robisz? – odpowiadać z uśmiechem wyższości: „studiuję". Jest to może zbytnie uogólnienie faktów, ale na podstawie dotychczasowych obserwacyj śmiem twierdzić, że właśnie spośród tego elementu (pochodzenia drobnomieszczańskiego najczęściej) rekrutują się ci, o których Pan mówi, że mają niejasne gusta polityczne. Oczywiście, że między tymi dwoma krańcowymi typami istnieją formy przejściowe..

Może ten właśnie skład studentów tłumaczy, dlaczego nie mamy jeszcze swego oblicza ideowego czy politycznego. Typ drugi się – dla nas – nie liczy. Niestety, jest dość liczny, ażebyście wy – starsi – brali go za naszego reprezentanta. Tymczasem pierwsi szukają drogi. Nieraz błędnie, często przerzucając się z jednej krańcowości w drugą, czasem głośno i hałaśliwie, częściej w ciszy i skupieniu. To trzeba zrozumieć, że my nie możemy się zdecydować z dziś na jutro, jakimi będą nasze zasady społeczne, czy polityczne, bo droga, którą dziś obierzemy, będzie nas prowadzić całe życie.

Teraz z innej beczki. Pytanie które każdemu stykającemu się z młodzieżą wiejską musi się narzucić: Czy łatwiej jest – materialnie – dzisiaj posłać dziecko do szkoły, niż przed wojną?.. Gdzie buty i odzież, które się w czasie wojny wydarły? To zapotrzebowanie pokrywa się sprzedając masło, jajka, czasem który metr żyta. W prakyce chłop na wsi przeciętnie jada gorzej, niż robotnik w mieście, mimo że pozornie ma wszystko pod nosem. Skądże tu wziąć na utrzymanie dziecka w mieście? A gdzie książki, Koło Rodzicielskie (150 zł = 1/3 zarobku ojca) lepsze ubranie? W dodatku w ten sposób ubywa siła robocza w domu. Gdzież znajdą się rodzice dość uświadomieni, aby mimo wszystko pokonać trudności i dać dziecku możność pójścia wyżej? Nie piszę tego wszystkiego po to, żeby może powiedzieć na zakończenie, dawniej było lepiej, wróćmy do przedwojennych stosunków. Nie, dawniej było zupełnie tak samo źle, jak teraz. Myślę, że jednak można by ułatwić jakoś dzieciom wiejskim osiągnięcie wiedzy. Przez liczniejsze stypendia, może przez założenie gimnazjów z internatami tak skalkulowanymi, ażeby robotnik folwarczny mógł posłać choć jednego syna do szkoły. Skoro państwo wypłaca zarobki o sile kupna 1 kg masła = pracy całomiesięcznej – słusznym jest, ażeby dawało rekompensatę w innej formie"..

J. Ż.

*) Porówn. Nr. Nr. „Kuźnicy": 9, 12 i 15.

PAŃSTWOWE ZJEDNOCZENIE
PRZEMYSŁU PIWOWARSKO-SŁODOWNICZEGO
REJONU ZACHODNIEGO
Bydgoszcz, Zbożowy Rynek 9. — Telefon 18-36 i 17-36

poleca swoje wysokogatunkowe piwa:

Zdrój Wielkopolski
(j a s n e)

Imperator
(c i e m n e)

Karam-El
(s ł o d o w e)

K o z i o ł
(ciemne - pełne)

Oranżady. Lemoniady i Wodę sodową

„Stara cegielnia"

Wspominałem już poprzednio o „Starej Cegielni" Jarosława Iwaszkiewicza, zapowiadając wystawienie tej sztuki przez Kameralny Teatr Domu Żołnierza. Spektakl wart był specjalnego zainteresowania nie tylko ze względu na nazwisko autora, ale i ze względu na swą nowość. Pierwsza to bowiem sztuka z okresu okupacji, wystawiona na scenie łódzkiej.

Sztuka ta ma swoje wady i zalety. W rezultacie widowisko, zorganizowane przez Erwina Axera, wywołało wśród publiczności opinie niejednakowe, w wielu wypadkach krańcowo sprzeczne.

Pokazano nam w widowisku tym — literacko skomponowany wycinek podmiejskiego, podwarszawskiego życia w okresie hitlerowskiej okupacji. Występują tam ludzie prości, ludzie mówiący językiem szorstkim, których sprawy jednakże wikłają się w sposób wybitnie intelektualny. Powstają stąd pewne misterne subtelności, a z drugiej strony patetyczność, w niektórych momentach bliska niemal dramatu greckiego. To się może bardzo podobać, można odnajdywać w tym wiele smaku.

Ale równocześnie ten intelektualizm, użyty tu jako materiał budowlany i sztuki i widowiska nie pomógł w uzyskaniu sceniczności, w uzyskaniu jakiegoś „działania się" realnego. Przeciwnie. Można by powiedzieć raczej, że w widowisku tym niemal nic się nie dzieje. Dialogi bohaterskiego złodziejaszka ze starym dozorcą cegielni, czy starego dozorcy z praczką — niewiele przyczyniają się do rozwoju sprawy, bo próbują rozwijać ją w sposób sztuczny, mechaniczny. Tak samo mechaniczny, jak mechanicznie tylko, a nie naturalnie, popychają czas inne wydarzenia. Odnosi się wrażenie, że gdyby nie było mowy o jakimś pikniku, który rzekomo odbył się w międzyczasie, to cały konflikt mógłby się odbyć w ciągu jednego popołudnia, w ciągu jednej rozmowy prawie. Chodzi mi o to, że nie ma tu w dostatecznej mierze naturalnego narastania wydarzeń. Jest tylko napięcie intelektualne.

Rzecz oczywista, że i tego rodzaju sztuki można wystawiać na scenie (chociaż wtedy już chyba raczej nie należy „udawać", że chodzi o wydarzenia realne). Ale wybór takiej sztuki nakłada na teatr olbrzymią odpowiedzialność artystyczną. Wymaga to przede wszystkim wybitnej współtwórczości aktorów. W widowisku, o którym mowa, tej współtwórczości nie było. Aktorzy byli wszyscy tylko poprawni — do granic najprostszej interpretacji tekstu. A to trochę zbyt mało, jeżeli w sztuce cały ciężar wydarzeń leży głównie w sferze subtelności intelektualnej. I w dużej mierze właśnie skutkiem tego wypadło widowisko w swej całości — poza kilkoma interesującymi, żywszymi momentami trzeciego aktu — tak mdło...

Przy pewnym rozczarowaniu co do czysto formalnych walorów widowiska — tym silniej dochodzi do głosu uczucie rozczarowania w stosunku do samej atmosfery, którą sztuka i widowisko prezentuje, chcąc wyrazić nią przecież pewien określony moment historyczny. A że chce rzeczywiście — wskazują na to rozmaite mgliste aluzje. Właśnie: Aluzje te są — wydaje mi się — tak mgliste, że absolutnie nie umiejscawiają zagadnienia i wydarzenia w czasie. Sztuka z okresu okupacji niemieckiej... Wydaje mi się, że ta sztuka mogłaby być równie dobrze wystawiana przed wojną — i nie znajdowano by w niej nic specjalnie dziwnego.

Jest to już zresztą sprawa do dyskusji. Wyrażam tylko pogląd, że — w sztuce o takim temacie, jaki posiada „Stara Cegielnia" — wyraźniejsze i śmielsze zaakcentowanie atmosfery okupacyjnej, określenie spraw politycznych, nie tylko mocniej utwierdziłoby rzeczywistość utworu w czasie historycznym, ale tym samym podniosłoby również jego walory artystyczne, podniosłoby przede wszystkim jego walory teatralne.

Juliusz Żuławski

Gdy rodziła się Polska przedwrześniowa

Pokój panował już na ziemi. Tylko Niemcy, pozostawione sobie, pokutowały za grzechy Wilhelma. Tylko Rosja, otoczona zewsząd wrogami, zmagała się z głodem, nędzą i kontrrewolucją, poza tym spokojnie było w powojennej Europie. I tylko Polska rodziła się wciąż jeszcze w huku armat i strumieniach krwi, gdy w innych państwach od dawna przystąpiono do twórczej pracy. Bo obszarnik z kresów wschodnich nie mógł się pogodzić z utratą swoich włości i wzywał do wojny z ojczyzną robotnika i chłopa. Ludy śląski i mazurski przegrywały swoją wolność dla kilkudziesięciu wielomorgowych majątków na Ukrainie. Trwała nad Polską pożoga.

Był już piąty rok Wolności Rzeczypospolitej i piąty rok krwawił naród przy tym ciężkim porodzie. 5 lat zmagał się chłop i orał i siał, 5 lat wydobywał górnik polski węgiel i 5 lat płynęło polskie zboże, polski cukier, polskie bekony i węgiel polski za granicę. Rząd wydawał zezwolenia na wywóz pojedyńczym kartelom, a w kraju skakały ceny, choć nie było jeszcze inflacji, a w kraju policja strzelała w robotników, gdy manifestowali przeciw paskarskiej drożyźnie, a w kraju endeccy bojówkarze napadali na socjalistycznych działaczy.

W Paryżu, Londynie i Waszyngtonie polscy ambasadorzy — hr. Zamojski, hr. Lubomirski i hr. Sobański — wygłaszali przy szampanie mowy o mocarstwowości i kokietowali przyjaciół z Albionu, a angielski generał Hacking jako Wysoki Komisarz Ligi Narodów wydał zakaz przyjmowania przez Polskę obcych flot i zagranicznych gości w porcie Gdańskim. W kraju już zachłystywano się frazesami o wielkomocarstwowej polityce, a angielski „Times" zastanawiał się, czy Polska w ogóle dorosła do samorządu. W kraju wciąż żałowano Mińska i Kijowa, a Niemcy już obejmowali Opole i Olsztyn. W Lidze Narodów omawiano sprawę autonomii dla Galicji Wschodniej, a prasa polska, pisząc o hajdamaczyźnie skomunizowanych bandach ukraińskich zachęcała policję do jeszcze ostrzejszych represji. Darto właśnie koty z Łotwą o kilka nadgranicznych gmin, ale endek, poseł Piltz, bez wahania złożył swój podpis w Pradze — to stracono Jaworzynę i Spisz. Zamykano już w Wilnie gimnazja litewskie i żydowskie, a w Gdańsku niemieckie bojówki napadały bezkarnie na Polaków. Mieliśmy ośmiu sąsiadów — z żadnym nie żyliśmy w zgodzie. Mieliśmy osiem mniejszości — każdej byliśmy wrogiem. Szczerze — tylko Francja z zatroskaniem i lękiem patrzała na przyszłość Polski. W sejmie głosowano przeciwko reormie rolnej, ale za istnieniem senatu, przeciw nauczaniu dorosłych, ale za rozbiciem jednolitego szkolnictwa na wyznaniowe, za pozbawieniem opieki Kas Chorych matek dzieci nieślubnych — za wprowadzeniem kary śmierci i chłosty. A kiedy Narutowicz został prezydentem Polski, odbyły się w Kościerzynie i innych miastach nabożeństwa żałobne. A kiedy Narutowicz padł od zbrodniczej kuli — modlono się za duszę Niewiadomskiego. Socjaliści wylepiali napisy: „Piąte przykazanie: Nie zabijaj!", lecz te afisze zrywano. Głoszono przecież wtedy chwałę mordu. Krwawo rodziła się Polska.

I wtedy — wiosną 1923 roku — w lanckorońskim dworze wzbogaconego wojennymi geszeftami bankiera, Hamerlinga, zawarte zostało przymierze: Chieny i Piasta. A potem Hamerling wszedł do senatu — godny reprezentant chłopskich interesów.

Padały już strzały w pierwszomajowe pochody łódzkich robotników, gdy Witos kończył tranzakcję sprzedaży Żyrardowa kapitalistom francuskim. Socjaliści żądali szybkiej realizacji reformy rolnej, ale rząd zajęty był właśnie emitowaniem banknotów. W ciągu 3 miesięcy wydał ich na sumę 3.300 miliardów Mk., a inflacja wyrażała się cyfrą 11 bilionów! Pan minister spraw wewnętrznych, a był nim wówczas Kiernik, zmieniał właśnie wojewodów, śnił o przymusie paszportowym i uśmierzał z pomocą młodzieży akademickiej strajki. Szerzyły się konfiskaty pism, bezprawne aresztowania i rewizje, wprowadzono sądy doraźne za udział w strajkach, wyszedł zakaz zgromadzeń — kurs dolara doszedł do 4 miliony Mk. Obieg banknotów przekroczył 40 bilionów! „Kurier Łódzki" pisał o nowej wojnie, zastanawiał się nad rozbiorem Litwy i tęsknie spozierał w stronę Rzymu, gdzie „gruntował się ruch zrodzony w obronie narodu, który, by stać się potężnym, musiał z konieczności zwalczać metody demokratyczne. System wyborczy we Włoszech był plagą społeczną, z którą obecnie szczęśliwie skończono". Tak pisał. „Kurierów Łódzkich" nie konfiskowała ówczesna cenzura.

Krwawo i długotrwale rodziła się Polska. W krwi robotników Krakowa, Tarnowa i Bochni, w których rozkazem pana ministra spraw wewnętrznych wymierzono karabiny policji, w krwi działaczy PPS, których mordowano bezkarnie, pośród pogromów Żydów i pacyfikacji Ukraińców. Za lipcowe zajścia w Krakowskim 3 posłów PPS wydał sejm na żądanie Witosa prokuraturze. Zamknięto teatrzyk „Qui pro quo". W monachijskich knajpach organizowały się pierwsze bojówki Hitlera. Szykowali się już do odwetu Niemcy. Szła Polska ku wielkiej zgubie.

. . . . . .

To tylko dla przypomnienia wam, panowie, którzy chcecie, by się powtórzyła historia.

Mariusz Margal.

NOTY

CZY ISTNIEJE BIBLIOTEKA JAGIELLOŃSKA?

Dr Irena Barowa, bibliotekarka Biblioteki Jagiellońskiej w Krakowie, przedstawiając w artykule pod powyższym tytułem (Dziennik Polski, Nr 72 (398) z 14.III 1946 r.) stosunki panujące w najstarszej i największej polskiej bibliotece naukowej (jedynej w Polsce nie zniszczonej przez działania wojenne) ilustruje je rozmową z pewnym „rdzennym" krakowianinem (a więc nieuprzedzonym), który „na każde niemal zamówienie otrzymywał odpowiedź niezmienną „n", co w stenografii bibliotecznej znaczy nie ma. Książka figuruje w katalogu, ale nie ma jej na bibliotecznej półce. Po dwóch, trzech tygodniach ponawiał rozmówca zamówienie i znów kabalistyczne i fatalistyczne „n" było jedynym wynikiem miast upragnionego podręcznika. Więc wreszcie doszedł do smutnego wniosku, że Biblioteka Jagiellońska nie istnieje dla czytelnika".

Autorka artykułu wymienia cyfrę 2.000 tomów wypożyczonych przed 1939 i dotąd nie zwróconych, dalej 1500 tomów zrabowanych przez Niemców, wspomina wreszcie o podręcznikach ukradkiem rozpożyczanych przez bibliotekarzy polskich w czasie okupacji młodzieży, profesorom i nauczycielstwu tajnych kompletów.

A w innym miejscu pisze „Jak nazwać akademika, który wychodząc z głównej czytelni przechwala się z triumfem wobec kolegów, że mimo kontroli przy wyjściu potrafił sobie wypożyczyć potajemnie książkę?"

Pracowniczce Biblioteki nie wolno było powiedzieć więcej. A fakty są następujące: książki znikają z magazynu Biblioteki Jagiellońskiej od kilku lat nieustannie i w ilościach przerażających. W czasie okupacji znalazły się w niej, jako depozyty, biblioteki prywatne osób najczęściej nieobecnych w kraju, a przynajmniej w Krakowie, a w każdym razie bezbronnych w czasie okupacji wobec wszelkiego rodzaju łajdactw. Skorzystali z tego zorientowani i praktyczni. Depozyty zaczęły znikać i znikają *bez ustanku do dnia dzisiejszego* wynoszone pełnymi walizami (a nie nieudolnie po egzemplarzu) i aby nie było wątpliwości podkreślam: nie przez właścicieli depozytów ani przez osoby przez nich upoważnione i nie w ich interesie. Jeszcze jedno źródło utrzymania, o ileż szlachetniejsze od zarobków tajniaków wówczas, a szabrowników interesujących się innym artykułem handlu niż książki — dzisiaj!

Od depozytów przeszli specjaliści w naturalny sposób do własnych magazynów Biblioteki. Większość bibliotekarzy patrzyła na to i patrzy z przerażeniem i — bezradnie, z tą bezradnością, której nauczyły ich skomplikowane stosunki okupacyjne, a z której nie potrafią się i dzisiaj wyzwolić, ulegając hamulcom ludzi, w tym wypadku niestety zbyt dobrze wychowanych.

P. dr Barowa cytuje wśród powodzi bazgrot na kartkach zamówień bibliotecznych takie kwiatki jak Orzeszkowej: Ham, lub Mickiewicza: Konrad Walenrot (rewersy z dn. 15.II) lub zamiast Moliera Świętoszka — Melfena. Słusznie stwierdza autorka alarmującego artykułu, że „nie można wszystkiego składać na karb wojennych matur czy samouctwa, bo tu widać najwyraźniej zupełne *nieuctwo* z jednej strony, a *niedbalstwo* z drugiej". Czyje nieuctwo i czyje niedbalstwo? To nie są kartki zamówień studentów uniwersytetu ani inteligentnego czytelnika z żadnej warstwy społecznej! Kto interesuje się Biblioteką Jagiellońską i kto z niej korzysta aż tak intensywnie, że musi się posługiwać walizami? Kto im ułatwia proceder? Ci, którym mówić o tym nie wolno, lub nie wypada — wiedzą wszystko.

Zaprzeczenie prasowe, jakim z pewnością odpowie Dyrekcja Biblioteki Jagiellońskiej, nie zaspokoi nas. Czy nie byłoby wskazane, aby odpowiedzialna komisja z ramienia Ministerstw Oświaty i Kultury oraz Rady książki sprawdziła na miejscu stan rzeczy?

„Każda książka tej najstarszej Biblioteki to nie tylko skarb naszego narodu, duma pokoleń, to świętość naszej kultury" przypomina p. dr Barowa w cytowanym artykule.

n. i. o.

PREHISTORIA

Jest niedaleko Warszawy powiat garwoliński, w tym powiecie wieś Stara Huta, w tej wsi szkoła powszechna, a w tej szkole kierownik i nauczycielka. I oto, podczas pewnej niezapowiedzianej wizytacji, okazało się że w tej szkole wiejskiej na honorowym miejscu, pięknie udekorowany zielenią, wisi na ścianie portret... p. Ignacego Mościckiego. Wisi nie na darmo i nie bez powodu, bo dzieci szkolne, zapytane kto pełni dzisiaj funkcje Głowy Państwa, odparły z całym spokojem, że właśnie — Ignacy Mościcki.

Dziwni to nauczyciele, którzy od 31 sierpnia 1939 r. nie zdarli dotychczas ani jednej kartki u kalendarza.

Bardzo chwalebne i pożyteczne są zamiłowania prehistoryczne, nie wydaje się jednak, by można było ich wyniki stosować bezpośrednio w życiu codziennym, zwłaszcza, jeśli chodzi o nauczycielstwo, czy nie czas już kosztem prehistorii poczynić niezbędne ustępstwa na rzecz — nowoczesności?...

bd

NIE MA ZGODY MIĘDZY HORESZKAMI!

Wszystko od tego właściwie poszło, że nie było zgody. BNGPPAU nie mogło dojść do porozumienia z KUNGWMAP. A u nas — jak wiadomo — dla jednej sprawy muszą być co najmniej dwie instancje. Tak też i było gdy chodziło o ustalenie nazw dla miejscowości Ziem Odzyskanych. Nie dość było Biura Nazw Geograficznych przy Polskiej Akademii Umiejętności — powołano do życia Komisję Ustalania Nazw Geograficznych w Ministerstwie Administracji Publicznej. I dlatego, choć w wielu wypadkach doskonale się przyjęły dawno już ustalone nazwy — dwie instancje dla załatwienia jednej sprawy w dalszym ciągu ustalały, badały, uzgadniały, aż wreszcie obie razem ogłosiły „ostateczne brzmienie". Ostateczne, jeśli np. Ministerstwo Ziem Odzyskanych nie zapragnie stworzyć u siebie podobnej Komisji. Bo wtedy zacznie się od nowa.

Jesteśmy już rok na Odzyskanych Ziemiach, a dopiero teraz okazuje się, że słynny już dziś Karpacz będzie się zwał Drogosławice, znane Solice — Szczawno-Zdrój, Kudowa to Chudobice Zdrój. Zamiast Chojnasty — Sobieszów, zamiast Puszczyków — Polanica Zdrój, a Rychbach to, proszę pamiętać, Dzierżoniów. Bezwątpienia słuszna jest zmiana tam, gdzie nazwa zawiera niemieckie brzmienie (np. Szywald od Schönwald, Szymbark od Schöneberg), ale nie mogę w żaden sposób pojąć, o ile lepsze, bardziej historyczne, bardziej słowiańskie, dla ucha milej brzmiące są Drogosławice czy Szczawno Zdrój od Karpacza czy Solic.

Dobrze się natomiast stało, że rozwiązano szereg zagadnień spornych. Ostatecznie będzie więc Legnica a nie Lignica, Kłodzko a nie Kladzko, Zgorzelec zamiast Zgorzelic, Prudnik zamiast Prądnika i inne. Na ogół zawsze mniej przyjęta i rzadziej używana nazwa zamiast już popularnej!

Powinny też zwrócić uwagę wyżej wymienione komisje władzom kolejowym, by zastosowały się wreszcie do ustalonych nazw, bo jak dotąd — miasto sobie — dworzec sobie. Pisałem już w innym miejscu o tym, jak to miasteczko Zawidów ma stację Żydzin, Szymbark — Jasna Hora, Krzyżatka — Kuźnick, Drogosławice (dawn. Karpacz) — Krzywa Góra, a trzy wałbrzyskie dworce dziwnie ponazywano: Słońsk Dolny, Borowieck Starzyny i Borowieck Dzietrzycki. I słowo daję, że zagubić się można w potoku „trwałych mian Ziem Odzyskanych". **mm**

„IDEOLOGIA"

„We wsi Przyszowa banda złożona z 40 uzbrojonych osobników napadła na dom A. Cabały, prezesa Zarządu Powiatowego Stronnictwa Ludowego. Cabały nie było w domu, ale córka jego 22-letnia Hanka, uzbrojona w automat ojca, obroniła siebie, matkę i troje rodzeństwa od masakry...

NSZ-owskie zbiry, gdy nie pomogło ciskanie granatami, prali z karabinu maszynowego w okna domu, a następnie atakowali drzwi, **trzymając przed sobą małego brata** Hanki — Józka... Józek został ranny w rękę, jednakże bandyci musieli po czterogodzinnym ataku wycofać się... Przed odwrotem **zastrzelili i zmasakrowali 15-letnią Kazię Cabalankę"...**

***

Dnia 5 kwietnia b. r. w godzinach wieczorowych **zamordowany został w Radomsku Dyrektor II Gimnazjum** i przewodniczący Miejskiej Rady Narodowej, Andrzej Chodura... Już w maju ub. r. bandyci spod znaku NSZ dokonali zamachu na ob. Chodurę, po którym ten zahartowany w walkach działacz przeleżał sześć tygodni w szpitalu... Charakterystyczne dla „ideowej" działalności bandytów NSZ-owskich jest to, że nie zadowolili się zgładzeniem Polaka-demokraty, lecz **ograbili zamordowanego z pieniędzy i ubrania"...**

***

„W godzinach wieczornych banda opryszków napadła na dom W. Kulfa, członka PPS, zamieszkałego w Ładygowicach, pow. żywieckiego. Bandyci obrabowali mieszkanie i **wymordowali w nieludzki sposób troje maleńkich dzieci, a następnie ciała ich oblali naftą i podpalili"...**

***

Dnia 10 bm. we wsi Chąszew, pow. siedleckiego, na własnym polu przy siewie, zastrzelony został przez trzech zbirów członek PPR, Borkowski Franciszek. Borkowski brał udział w grupach, likwidujących bandytyzm na terenie pow. siedleckiego... W czasie okupacji ścigany przez Gestapo i żandarmerię niemiecką, przetrwał w walce"...

***

Oto cztery wycinki prasowe z dni ostatnich, ilustrujące znakomicie „wolność i niepodległość" w wydaniu.. specjalnym, opartym ściśle na wzorach i metodach hitlerowskich. Niestety „Hitler żyje".

bd

TCHÓRZOSTWO I ODWAGA

Parę tygodni temu podała prasa codzienna wiadomość, że przy likwidacji bandy NSZ-owskiej niejakiego „Tartaka", którym okazał się volksdeutsch Otto, ujawniono, iż banda miała na swe usługi dwóch — kapelanów. Ich obowiązki „duszpasterskie" polegały m. in. na odprawianiu modłów i na udzielaniu pociechy religijnej ofiarom, skazanym na śmierć przez bandytów. Wiadomość wydawała się nieprawdopodobną; podano jednak nazwiska (polskie nazwiska!) tych księży kapelanów oraz nazwy parafij, w których pełnili oficjalne czynności kapłańskie.

W tych dniach „Głosu Ludu" (Nr 90) przyniósł jeszcze bardziej zdumiewającą informację: D. 9 marca władze bezpieczeństwa zlikwidowały pod Starachowicami bandę NSZ-owców, na której czele stał ksiądz ze wsi Sienna! Księdza ujęto w sutannie, podczas krwawego starcia z opryszkami. Gdy jeden z funkcjonariuszów bezpieczeństwa padł ranny na ziemię, ksiądz oddał do niego szereg strzałów, by go dobić; strzały jednak chybiły, ponieważ ksiądz - proboszcz sam był postrzelony i nie mógł dobrze celować. Tak brzmi informacja cytowanego dziennika.

Całkiem niedawno pisaliśmy o tym, że niektórzy księża odmawiają udziału w pogrzebach ofiar, mordowanych przez polskich hitlerowców, tłumacząc się obawą przed zemstą bandytów. Okazuje się wszakże, iż ten brak odwagi nie jest zjawiskiem stałym ani powszechnym. Bo w innych wypadkach — na odwrót — niektórzy księża składają niezbite dowody odwagi, wspomagając czynnie działalność band dywersyjnych. Jest to wprawdzie odwaga bardzo szczególnego rodzaju, tym niemniej kontrastuje jaskrawo z owym lękiem, gdy chodzi o chrześcijański pochowek... Czy nie czas, by władze kościelne zainteresowały się bliżej osobliwymi *symptomatami tchórzostwa i odwagi*, występującymi wśród pewnej części duchowieństwa?

bd

W KRAINIE BEŁKOTU

Dopiero niedawno doszła do nas poetycka „antologia walki" p. t. „*Nasze granice w Monte Cassino*" (Rzym, 1945), wydana nakładem 2 korpusu wojsk gen. Andersa. W antologii tej możemy znaleźć wiele wierszy wzruszających, mówiących o walce żołnierza polskiego. Niestety, andersowscy kierownicy kulturalni zatopili ją w jeziorze bełkotu. Ze wstępu p. Jana Bielatowicza pozwalamy sobie przedrukować najcelniejsze ustępy:

Jaka jest armia Andersa?

„Świadectwo czasu, kiedy „anhelliczna, biblijna i sienkiewiczowska armia gen. Andersa (Jan Lechoń) przechodziła marszem tryumfalnym przez półwysep włoski..."

Bratny stuka do bram metafizyki

„Jest w poezji Kraju wiele spojrzeń w głębie cywilizacyjne i mistycznych kontemplacji. Jest to albo stukająca do bram metafizyki poezja Bratnego albo inne wiersze, zadumane nad tragedią ludzkości na polu bitwy w Polsce..."

Liryczna koniunktura

„Tymon Terlecki, zapalony organizator polskiego życia kulturalnego w Anglii, redaktor „Polski Walczącej" napisał kiedyś, że „wojna jest doświadczeniem lirycznym" i „liryczną koniunkturą..."

Sąd wytrawnego znawcy poezji czyli świst dziejowych piorunów

„Wytrawny znawca poezji, lord marszałek Archibald Wavell uważa poetę za człowieka obdarzonego darem wizyjności. Bez wizji zaś — sądzi — giną narody. Więc Wierzyński posiada ten dar niepospolity. Dość przeczytać jego „Via Appia", pisaną wnet po katastrofie Września, aby uważać ją dosłownie za proroctwo. Tę siłę „wieszczenia" ma jeszcze chyba z poetów emigracyjny drugi tylko Łobodowski. Wierzyński nie kryje się przed piorunami historii w wymyślnych schronach społecznych ni kulturalnych, ale wychodzi im naprzeciw. W poezji jego słychać też świst dziejowych piorunów i modlitwę gromionego narodu w przepotężnych pieśniach „Święty Boże", „Zstąp, Duchu mocy", w „Mszy żałobnej w katedrze nowojorskiej", w patetycznych hymnach, psalmach i modlitwach, które dziś w całej poezji polskiej zastąpiły romantyczne złudzenia mesjanizmu. Modlitewność jest cechą charakterystyczną poezji Kraju, emigracji i żołnierzy".

Po co jest emigracja?

„Grupa amerykańska poetów charakteryzuje się widzeniem całości sprawy polskiej we właściwej perspektywie. Nie jest zaprzątniętą drobnymi podziałami i sporami, to też twórczość tamtejszych poetów jest najbardziej monumentalna tematycznie i nastrojowo. Emigracja — ich słusznym zdaniem — jest po to, aby mógł się bić polski żołnierz".

Poeta, który toczy się jak strumień

„Józef Łobodowski jest czołowym poetą młodego pokolenia. Jest on najbardziej unerwowionym duchowo pisarzem. Zupełnie nie dbający o losy swych poezji, wszędzie gdzie stąpi wywołuje poruszenie kulturalne, z wielką szkodą nie dotarł do wojska (Hiszpanie uwięzili go w Mirandzie). Dziś przebywa we Francji i przygotowuje historię literatury polskiej po hiszpańsku. Wiersze Łobodowskiego są huraganem mowy. Poeta umie osiągnąć wszelkie wysokości i zajrzeć w każdą głębię języka. Toczy się ten strumień szeroko, raz majestatycznie, jak polonez, to znów jak skoczne wodospady mazurków lub melancholijne zalewy kujawiaka. Nie widać ciągle na szczęście kresu możliwości poetyckich Łobodowskiego".

Powietrze wojskowe

„...Chciałoby się teraz wydzielić poetów w mundurze na terenie Anglii. Jest to wszakże sprawa nie prosta. Nie wyróżniają się oni jako żołnierze, w poezji ich nie ma powietrza wojskowego, dlatego zapewne, że życie żołnierzy polskich w Anglii było mocno związane z cywilnym. Poza tym zdaje się rzadkością byli tacy poeci żołnierze w Anglii, którzy widzieli front. Słowem polskiej poezji żołnierskiej w Anglii znaleźć prawie nie można".

jk

LIST DO REDAKCJI

Szanowny Panie Redaktorze!

W numerze 7 „Kuźnicy" z dnia 25 lutego br. zamieszczona została notatka pt. „Kiedy koniec wojny", która zajmuje się podjętą przeze mnie rejestracją strat personalnych naszej kultury od 1.9.1939 r. począwszy.

Sprawa polega na nieporozumieniu, ponieważ rejestracja moja (wbrew temu, co sądzi o tym autor notatki) *nie ogranicza się do lat wojny i okupacji*. Rozpoczynając w numerze 18 „Tygodnika Powszechnego" z r. 1945 druk mojej listy, wyraźnie zaznaczyłem, że doprowadzam ją do dni dzisiejszych. W rezultacie weszły więc do niej także nazwiska osób zmarłych w r. 1945. W drukującym się wydaniu książkowym obejmie „Lista strat" okres od 1.9.1939 do 1.3.1946 czyli sześć i pół lat.

Podobnie ujęte zostały spisy o innym układzie (według działów lub według szkół wyższych) opublikowane na łamach „Nauki i Sztuki" oraz „Szkół Wyższych", a ograniczone do pewnej kategorii osób. I tu starałem się doprowadzić je do dni ostatnich, czyli, (jak trafnie „odkrył" autor notatki) do chwili oddania rękopisu redakcjom wspomnianych pism. Ostatnią z list (pracowników naukowych wyższych uczelni naszych) mam zamiar kontynuować dalej tj. po 1.3.1946 r.

To też dziwny wydaje mi się zwrot autora „Wolno p. Olszewiczowi żyć w miłym śnie, że wojna się jeszcze nie skończyła..." do czego brak jakichkolwiek podstaw.

Łączę wyrazy wysokiego poważania

Prof. Dr Bolesław Olszewicz

Odpowiedzi Redakcji:

B. T., M. Ch. Łódź, J. L. Poznań, por. S. W., H.K.W. Rychbach; — Niestety, nic dla nas.

CENY OGŁOSZEŃ: 1 kolumna zł 60.000; 1/2 kolumny zł 30.000; 1/4 kolumny zł 15.000; 1/8 kolumny zł 8.000; 1/16 kolumny zł 5.000; Drobne ogłoszenia 25 zł 1 mm na 1 szpaltę.

Redaguje Zespół „Kuźnicy". Redaktor Naczelny: Stefan Żółkiewski.
Redaktor naczelny przyjmuje we wtorki, czwartki i soboty od godziny 11 do 13.
D—09233
Adres redakcji i administracji: Piotrkowska 96, tel. 205-42.
Wydawca: Zespół „Kuźnicy". — Drukarnia Spółdzielni Wydawniczej „Czytelnik" Nr. 4, ul. Żwirki 2.